ROK XVII NR 1 (842), ŁÓDŹ, 3 STYCZNIA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO – KULTURALNY

JAN HUSZCZA

KACZKI NA WEŁTAWIE

Koniec pierwszej dekady października, prawie upały, liście mają wszystkie kolory dostałej jesieni, jednak jest tak sucho, że przydałby się ciężki, ale przy tym ruchliwy deszcz, jakieś takie wielkie werniksowanie, barwy stałyby się soczyste, leżące na ziemi listowie nie wzlatywałoby spod nóg w powietrze.

Godzinami patrzę z mostu Karola na Wełtawę, bo widok rozległy, panoramiczny i malowniczy. Na lewym brzegu Hradczany, może najświetniejsza, ale „mniejsza Praga", na prawym „większa Praga", z dala niemal jednolita, dopiero na skraju, na dalekim horyzoncie sterczą wieżowce, punktowce, czy jak im tam.

Wełtawa jest płytka — szczególnie tej jesieni — trawy z dna czasem sięgają powierzchni zwierciadła — więc ją gdzieniegdzie spiętrzono, kilka na niej wysepek i kilka nad nią mostów, najwspanialszy to właśnie ten most Karola — kamienny z XIV wieku.

Co jednak mnie zaskoczyło? Pośrodku jednego z wielkich miasta, na wodzie pełno dzikich kaczek! Nie czuwają nad nimi milicjanci. A w łódzkim parku im. Poniatowskiego gdzie błyszczą dwa stawy, spięte pseudoromantycznym mostkiem, stale ktoś musi odpędzać wyrostków, ciskających kamieniami w łabędzie.

Chyba jednak inna kultura bycia. Podczas dziewięciodniowego pobytu w Pradze i w Bratysławie nigdzie moje uszy nie były poddane naszej pladze: chamstwu tranzystorowych aparatów radiowych, wszędzie nas ścigającemu. I, pytając o to, od nikogo nie usłyszałem odpowiedzi: surowo przestrzegany zakaz czy właśnie kultura bycia? szacunek dla innych ludzi? (Bo o ten szacunek dla innych chodzi i trzeba u nas wreszcie coś z tym zrobić, ale co? Same zarządzenia, choćby tak efektowne jak naszych władz miejskich, nic nie dają).

LATERNA MAGIKA

Praha I, Narodni 40. Niełatwo uzyskać bilet do tego teatrzyku dobrze znanego od lat w różnych wielkich miastach paru kontynentów, m.in. w Warszawie, w Leningradzie, w Antwerpii, w Nowym Jorku, w Buenos Aires i w Osace. Możność znalezienia się w nowocześnie urządzonym podziemiu, na jakimś trzecim piętrze w dół pod staroświeckim gmachem zawdzięczam pracowniczce Zw. Pisarzy Czeskich, operatywnej p. Codrovej.

Cóż reprezentuje Laterna Magika? Absolutne zsynchronizowanie filmu, żywych aktorek i aktorów oraz przedmiotów martwych. Na czym to polega. Wyjaśnijmy najprościej: jeśli aktor ze sceny wrzuca petardę „do filmu", ta natychmiast „w nim" wybucha i na odwrót. Może oczy

Dalszy ciąg na str. 4

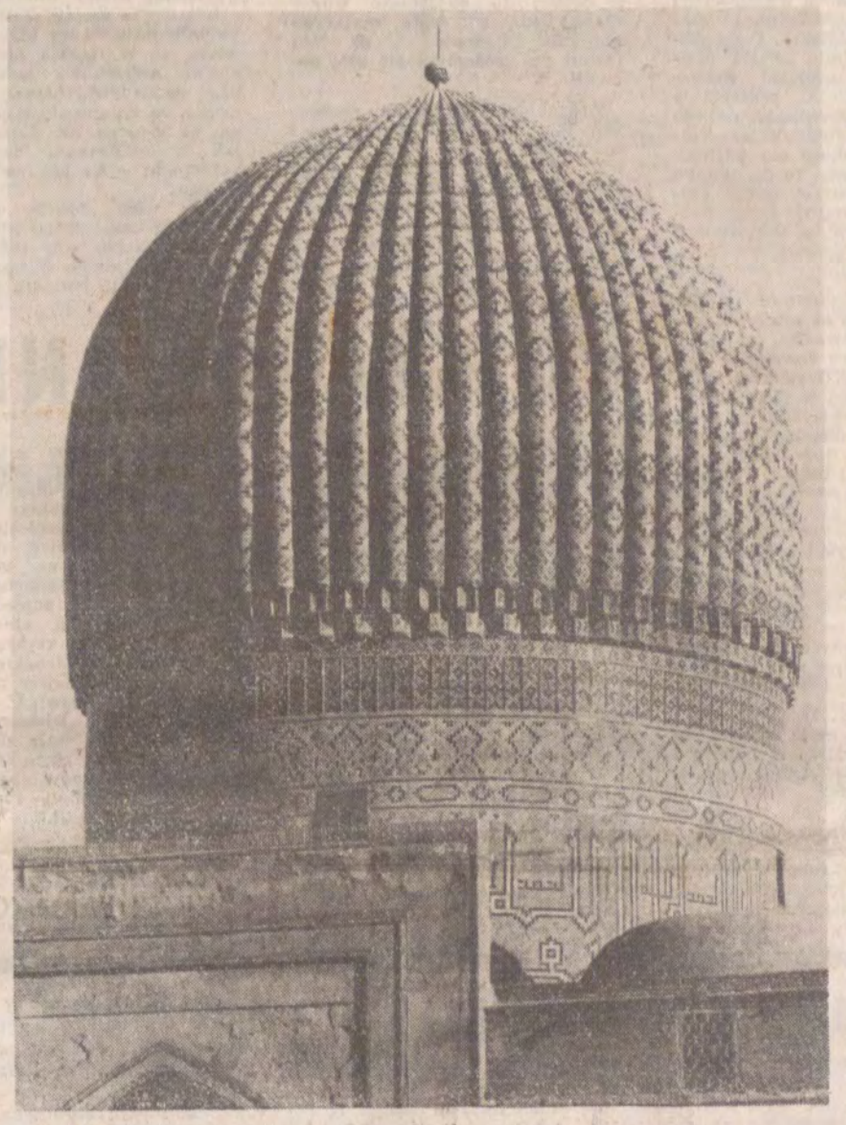

Fot. A. Wach

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DRUGIE NIEBO SAMARKANDY

(KORESPONDENCJA Z UZBEKISTANU)

Podróż z Buchary do Samarkandy odbyłem samolotem; trwało to dokładnie trzydzieści trzy minuty. W Związku Radzieckim z samolotów korzysta się tak, jak u nas z autobusów i pociągów. Latają wszyscy — kobiety, mężczyźni, starcy i dzieci, dla których stanowi to zaledwie atrakcję średniego kalibru.

Na lotniskach Związku Radzieckiego przez całą dobę panuje ożywiony ruch. Poczekalnie, restauracje i bary szybkiej obsługi trzeszczą w szwach. Długie rzędy pasażerów z ciężkimi bagażami w ręku stoją przed okienkami, gdzie odbywa się coś w rodzaju odprawy biletowej.

Powodzenie komunikacji samolotowej w Związku Radzieckim uzależnione jest również od znikomej ilości wypadków i niskich opłat. Lot z Taszkientu do Buchary kosztował mnie jedenaście rubli, a z Buchary do Samarkandy — siedem. Pokonanie trasy z Samarkandy do Moskwy możesz sobie zagwarantować za czterdzieści osiem rubli. Lot taki — 3240 kilometrów — trwa pięć godzin, w czasie których „Aerofłot" serwuje ci pożywny posiłek.

*

Osobny rozdział stanowią w Związku Radzieckim taksówki. Któregoś dnia na Placu Czerwonym w Moskwie, czując pierwsze oznaki przeziębienia, zmuszony byłem wrócić na kilka minut do hotelu po zimowy płaszcz. Wsiadając w taksówkę robiłem sobie stosowne wyrzuty. Jak można tak lekkomyślnie trwonić gotówkę! Podróż w tę i z powrotem — hotel TURIST leży na rubieżach miasta, które liczy sobie osiem milionów ludzi — trwała godzinę i dwadzieścia minut i kosztowała mnie aż... dwa i pół rubla.

Od tej pory, bojkotując autobusy, trolejbusy i wspaniałe metro (za pięć kopiejek można przejechać pięćdziesiąt kilometrów), zacząłem nałogowo eksploatować taksówki. Jest ich dużo, w każdym razie nigdy nie ma tłoku na postojach. Większość to wołgi nowego typu. Wewnątrz każdej, obok numeru bocznego, widnieje starannie wykaligrafowane nazwisko kierowcy. Iwan Piotrowicz Susłow obrazi się, kiedy zechcesz wcisnąć mu napiwek. Kiedy zobaczy matkę z dzieckiem albo starca, z miejsca zatrzyma samochód, dając im pierwszeństwo na przejściach i pierwszeństwo w korzystaniu z jego usług transportowych.

W Samarkandzie, mieście, w którym można dostać oczopląsu, i które każdy wrażliwy na piękno turysta powinien oglądać na klęczkach, byłem, niestety, tylko dwa dni. Szlachetna pasja poznania, konieczność szybkich przejazdów z jednego krańca miasta na drugi, raz po raz zmuszała mnie do korzystania z taksówek. Niejednokrotnie, kiedy stałem na skraju jezdni i niecierpliwie wymachiwałem ręką, zatrzymywały się przede mną samochody osobowe, nie będące taksówkami. Robiło mi się ciepło na sercu: swojacki obyczaj... a więc i tu poluje się na łebka!...

Dalszy ciąg na str. 6

RYSZARD BINKOWSKI

PUSTA ZIEMIA

Kiedy po raz pierwszy widziałem JANA NOWAKA, zapamiętałem głównie jego dłonie. Gestykulował żywo, te poczerniałe, nerwowe dłonie migały mi przed oczyma i biegały jak zwariowane po blacie biurka.

— Tu jest moja działka — pokazywał Nowak — a tu się budują ludzie. Mnie nie pozwalają!

— Spokojnie, panie Nowak — powiedziałem. — Dlaczego panu nie pozwalają się budować?

— A bo ja wiem? Może pan to właśnie wyjaśni! Bo ja już obleciałem wszystkie urzędy i nic. Teraz wracam z Wojewódzkiej Rady Narodowej.

— I co?

— Jak byłem za pierwszym razem, to jeden urzędnik o zachrypniętym głosie powiedział, że mi dadzą znać, czy sprawę załatwią. Przyszedłem drugi raz, gdyż mi się dłużyło czekanie, więc ten sam urzędnik stwierdził, że nic mu nie wiadomo w tej sprawie. Teraz tylko u was ostatnia deska ratunku.

Starałem się mu wyjaśnić, że redakcja nie ma takiej mocy, aby decydować o zabudowie działki, ale sprawą zająłem się. Chociaż mogłem machnąć na wszystko ręką. Bo przecież dnia 25.8.73 r. **Biuro Listów Komitetu do Spraw Radia i Telewizji** w Warszawie przysłało Nowakom pismo, w którym poinformowało m. in.:

„(...) nie mamy wpływu na zmianę decyzji w sprawie zabudowy działki. Możecie skorzystać z prawa odwołania się do Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium WRN, które zbada sprawę i wyda ostateczne orzeczenie".

Uporządkowałem więc wszystkie pisma, jakie otrzymał w tej sprawie Nowak i przedstawiam ją z „urzędowego punktu widzenia", przy czym okaże się, że nie idzie tu o samego Jana Nowaka, zamieszkałego w **Ochraniewie nr 9**, tuż pod Zduńską Wolą, lecz o jego syna **Eugeniusza**, zamieszkałego w **Ochraniewie pod nr 34.**

Rzecz polega na tym, że Jan Nowak, ojciec sześciorga dzieci, w roku 1946 nabył z PFZ działkę ziemi o powierzchni 1 ha we wsi Janiszewice (tuż obok Ochraniewa). Nowak należności spłacił, wszystko przeszło rejentalnie, spisano akt itd. Obecnie Jan Nowak postanowił na tej działce wybudować dom dla najstarszego, żonatego syna Eugeniusza i w tej sprawie Eugeniusz, bo on na własną rękę czyni dalsze starania, zwrócił się do PPRN w Sieradzu. Odpowiedź z datą 11.05.1973 r. była następująca:

Dalszy ciąg na str. 4

Rys. A. GRUN

PRZED MATURĄ – 1974

W rodzinnych papierach zachowało się świadectwo dojrzałości mego dziadka, wydane przez C.K. Gimnazjum III w Krakowie w 1911 roku.

„Na podstawie tego egzaminu — czytam — **uznano go jednogłośnie dojrzałym do studyów w Uniwersytecie".**

To świadectwo mówi przynajmniej do czego nieszczęsny maturzysta miał być dojrzały, a o czym, w sporze o matury, nie zawsze pamiętamy. Sporowi temu wróżę nieskończenie długi żywot, gdyż obok argumentów za utrzymaniem egzaminu maturalnego. Matury mają zresztą w Polsce długie tradycje (pierwsze egzaminy zdawano około 1788 r. w uniwersytetach), co przy właściwych Polakom skłonnościach do zachowania tradycji nie pozostaje bez znaczenia.

Do listopada br. nie było wiadomo, czy matury będą. Dobrze poinformowane osoby z kół zbliżonych do Ministerstwa Oświaty i Wychowania twierdziły, że uchwała o systemie edukacji narodowej zlikwiduje lub przynajmniej zapowie zniesienie egzaminów dojrzałości. Wieści okazały się fałszywe, przy czym prestiż osób dobrze poinformowanych nieco ucierpiał. 9 listopada 1973 r. minister Jerzy Kuberski ogłosił nowy regulamin egzaminów dojrzałości w średnich szkołach ogólnokształcących i zawodowych.

Osobiście jestem za utrzymaniem egzaminów, gdyż na zarzuty, iż nie są doskonałym sprawdzianem wiedzy i powodują niepotrzebne stressy, odpowiem, iż nie ma dotąd idealnego sposobu egzekwowania wiadomości, a odporność psychiczną zdobywa człowiek nie unikając, a pokonując konfliktowe i trudne sytuacje. Pozostawmy jednak na boku spór o sens matur. Przypatrzmy się raczej nowemu regulaminowi.

Nowa matura składać się będzie z dwóch części. **Pierwsza** — jednakowa dla wszystkich uczniów — obejmuje egzamin pisemny z języka polskiego i matematyki. Autorzy regulaminu wychodzą tu z założenia, że dobre opanowanie tych przedmiotów, stanowi podstawę wykształcenia ogólnego. Pozytywnie zdane egzaminy pisemne dopuszczają ucznia do drugiej części matury. I tutaj wprowadzono zasadnicze zmiany. Po pierwsze — **uczeń ma do wyboru dwa spośród kilkunastu przedmiotów.** Dotychczas wybierał tylko między fizyką, chemią, biologią, geografią oraz wiedzą o Polsce i świecie współczesnym. Wszystkich uczniów obowiązywał też egzamin ustny z języka polskiego i matematyki. Obecnie **i te przedmioty pozostawiono do wyboru maturzystom.** Warunek jest tylko jeden. **Wybrane przedmioty muszą się pokrywać z przedmiotami, z których obowiązuje egzamin wstępny na wyższe uczelnie.** Uczeń wybiera również formę drugiej części egzaminu. Może zdecydować się na egzamin ustny lub pracę pisemną, przygotowaną w ciągu czterech miesięcy. I właśnie ta praca stanowi największą nowość w systemie maturalnym.

Regulamin zakłada daleko idącą swobodę w wyborze form egzaminu. Można zdawać jeden przedmiot ustnie, a z drugiego przygotować pracę, można przygotować dwie prace lub też zdawać dwa egzaminy ustne. Istnieje również możliwość przygotowania jednego tematu z dwóch pokrewnych przedmiotów (uczeń otrzyma wówczas dwie oceny) lub też opracowania obszerniejszego tematu wspólnie z kolegą. Wówczas każdy z autorów będzie bronił własnej części pracy. Uczeń może również sam zaproponować interesujący go temat.

Napisaną samodzielnie pracę uczeń złoży do recenzji u nauczyciela, a następnie obroni przed komisją egzaminacyjną. Obronie pracy, oprócz członków komisji, będą mogli przysłuchiwać się inni uczniowie zdający egzamin z tego przedmiotu.

Kolejna nowość to stopnie na świadectwach dojrzałości. Obok ocen z egzaminów maturalnych wpisane będą oceny uzyskane przez absolwentów w ostatnim semestrze nauki. Znajdą się tu również indywidualne osiągnięcia i sukcesy ucznia odniesione w sporcie, pracy społecznej itp.

Tyle z głównych założeń regulaminu. Jego, już teraz widoczne, zalety to przede wszystkim **ogromna elastyczność** i dostosowanie do predyspozycji psychofizycznych, możliwości i aspiracji uczniów. Druga nie mniej ważna zaleta, to **powiązanie tematyczne egzaminów dojrzałości z egzaminami wstępnymi na wyższe uczelnie.** I trzeci walor — **nowa matura pozwala wykazać się umiejętnością samodzielnej pracy.**

Tegoroczni maturzyści przyjęli nowy regulamin na ogół z zadowoleniem. Głównie ze względu na brak schematu i możliwości wyboru. W tej chwili szkoły Łodzi i województwa zakończyły już zebrania informacyjne, narady z wizytatorami oraz specjalne lekcje dla młodzieży zapoznające ją z nowym regulaminem. Obecnie uczniowie deklarują wybór formy drugiej części egzaminu. Jak się okazuje, sporo osób postanawia przygotować prace pisemne.

— **Na przykład na Bałutach** — mówi wizytator KOS, mgr Maria Święcicka — **przeciętnie od 10 do 25 uczniów z klasy maturalnej decyduje się na pracę pisemną. Najwięcej uczniów wybiera język polski, matematykę, fizykę, i chemię. Obserwujemy również pozytywny, naszym zdaniem, objaw łączenia przedmiotów np. matematyki z fizyką, fizyki z chemią, chemii z biologią itp. i podejmowania wspólnych prac z tych dyscyplin.**

Maturzyści nie wyobrażają sobie na ogół, jak będzie wyglądała obrona pracy. Interesują ich szczegóły, np. czy pytania będą dotyczyły tylko samej pracy, czy też całości materiału z danego przedmiotu? Co powinien wiedzieć na temat przygotowanej pracy maturzysta, jak należy bronić jej przeciwko zarzutom, stawianym w recenzji? Podobne pytania łączą się z egzaminem poprawkowym z pierwszej części egzaminu. Czy ustna poprawka dotyczyć będzie tylko napisanej pracy, czy też całości materiału? Czy decydując się na egzamin maturalny z wychowania plastycznego lub technicznego można przedstawić wykonany przez siebie model, czy też będzie on stanowił tylko dodatek do przygotowanej rozprawy?

Podobne pytania nurtują również nauczycieli. Nic dziwnego, skoro z maturą w takiej formie spotykają się po raz pierwszy. Obydwa kuratoria zadbały już o to, aby żadne pytanie nie pozostawało bez odpowiedzi. Są to oczywiście szczegóły, ale szczegóły istotne, zwłaszcza dla maturzystów.

W styczniu, zgodnie z regulaminem, uczniowie powinni otrzymać tematy prac pisemnych, aby w ciągu 4 miesięcy, czyli do 15 kwietnia, oddać gotowe prace. Temat powinien być tak ujęty, aby z jednej strony pozwalał „zabłysnąć" wiedzą i zdolnościami, z drugiej wykazał stopień opanowania programu szkolnego. Trwają narady nauczycieli. Przygotowanie tematów jest sprawą pilną i ważną. **Trzeba się śpieszyć, ale śpieszyć mądrze, aby nie wylać dziecka razem z kąpielą.**

W maju przy pierwszych egzaminach mogą wyjść na jaw takie przypadki, których nie zdoła przewidzieć nawet najobszerniejszy regulamin. Pierwszą nową maturę trzeba traktować nieco eksperymentalnie. Boję się tylko o jedno, przed czym tak przestrzega w „Refleksjach nad oświatą" prof. Jan Szczepański — **aby w szczegółach i drobiazgach nie zaprzepaścić głównego sensu reformy matur.** Reformy, która dopasowuje egzamin do bliskiej już powszechnej szkoły średniej i która, cokolwiek byśmy nie powiedzieli, pozwala uczniom myśleć.

MAŁGORZATA GOLICKA

NOWE INWESTYCJE ŁODZI

Woda z Pilicy płynie już do Łodzi. Uroczystym uruchomieniem przepompowni zakończono wieloletnie, ale krótsze niż pierwotnie planowano, budowanie wodociągu Sulejów — Łódź. Pompy tłoczą już sulejowską wodę do miejskiej magistrali. Dla miasta, które cierpiało na deficyt wody i które posiada przemysł wiele tej wody potrzebujący, oznacza to nowy etap rozwoju, etap, w którym brak wody nie będzie hamulcem dla przemysłu.

W uroczystości otwarcia przepompowni uczestniczył **I sekretarz KC PZPR — EDWARD GIEREK** oraz **premier PIOTR JAROSZEWICZ.** Obecni byli również gospodarze Łodzi i województwa łódzkiego: **pierwsi sekretarze KŁ i KW PZPR — BOLESŁAW KOPERSKI** i **ZBIGNIEW ZIELIŃSKI,** prezydent m. Łodzi — **JERZY LORENS** i wojewoda łódzki — **ROMAN MALINOWSKI.**

EDWARD GIEREK i **PIOTR JAROSZEWICZ** udekorowali budowniczych wodociągu Sulejów — Łódź wysokimi odznaczeniami państwowymi, przyznanymi przez Radę Państwa. I sekretarz KC PZPR — **Edward Gierek** złożył gratulacje odznaczonym i w swoim przemówieniu wyraził nadzieję, że w drugim etapie budowy sulejowskiej inwestycji załogi przedsiębiorstw, biorących w tym udział, wykażą się nie mniejszymi osiągnięciami niż obecnie.

Przedstawiciele najwyższych władz partii i rządu, którym towarzyszyli: minister przemysłu lekkiego — **Tadeusz Kunicki,** minister gospodarki terenowej i ochrony środowiska — **Jerzy Kusiak,** prezes ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch" — **Stanisław Mojkowski** zwiedzili również zmodernizowany oddział **Tkalni Jedwabiu „Brokat", Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch', nowo wybudowaną wędliniarnię na Teofilowie, Urząd Pocztowy Łódź** — 4 przy al. Kościuszki oraz oddany do użytku gmach **Centralnego Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego** przy ul. Piotrkowskiej.

Była to już trzecia kolejna wizyta najwyższych przedstawicieli kierownictwa partii i rządu, dowód wielkiego zainteresowania łódzkimi przemianami, przebiegiem procesu modernizacji miasta.

„W atmosferze głębokiej troski o łódzkie problemy ze strony kierownictwa partii i rządu, świadomi osobistego, serdecznego zaangażowania w nie Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza — pisał nazajutrz po wizycie, „Głos Robotniczy" — **zrobimy wszystko, aby nie zawieść pokładanego w nas zaufania, aby pomnożyć codzienną, rzetelną pracą to, co już osiągnęliśmy".**

PROSZĘ O GŁOS!

ROZCZAROWANIE

Rozczarowanie — to najwłaściwsze określenie uczucia, jakie mi towarzyszyło przy lekturze rozmowy studentów o współczesnej inteligencji, opublikowanej niedawno przez „Odgłosy". Postawione w tytule pytnie: „JACY MAMY BYĆ?" nie znalazło właściwie odpowiedzi. A przecież w rozmowie tej uczystniczyli najlepsi — laureaci Konkursu Kopernikowskiego. A skoro ci najlepsi nie bardzo wiedzą, to co dopiero mówić o pozostałych, wśród których — jak twierdzi Jerzy Niewiadomski, jeden z uczestników tej rozmowy — „panuje moda na nieuctwo".

Chciałbym przypomnieć prawdę tak oczywistą, że aż czuję skrępowanie z tego powodu, prawdę o wkraczaniu w erę rewolucji naukowo-technicznej. I jeszcze jedną, że znajdujemy się w dość złożonej i nie najłatwiejszej sytuacji, kiedy musimy jednocześnie nadrabiać zaległości i opóźnienia i dotrzymywać kroku innym. Potrzeba więc nam ludzi nie tylko dobrze wykształconych, ale gotowych do łamania barier, jakie zawsze tworzą się przy przyśpieszaniu. A są to bariery nie tylko wynikające z poziomu techniki, jaką jeszcze dysponujemy ale — przede wszystkim — wynikające z anachronicznych sposobów myślenia. Czy takimi będą ci, którzy obecnie przygotowują się do twórczego życia polskiego inteligenta lat 70-tych?

Rozczarowanie moje wzięło się stąd, że oczekiwałem niepokoju i niecierpliwości, twórczego zapału, a spotkałem kilka oczywistych stwierdzeń dość już wytartych od częstego używania, w rodzaju: „...nasz absolwent musi być doskonałym fachowcem, z drugiej (strony) musi wiedzieć to, co się dookoła niego dzieje". I mógłbym pretensje skierować wyłącznie pod swoim adresem, bo po co spodziewałem się aż tyle, gdyby nie fakt, że byłaby to obojętność wobec spraw bądź co bądź mających społeczne znaczenie. A na taki luksus nie możemy sobie dziś pozwalać.

Z dyskusji najlepszych studentów wyziera pewna bezradność i spore pomieszanie pojęć. Może więc najpierw o owym pojęć pomieszaniu. Rozumiem, że w rozmowie często używa się terminów pomocniczych, ale „kultura studencka" nie jest takim. Zawsze uważałem, że kultura jest jedna i niepodzielna, a o jej kształcie decyduje nie to, kto ją uprawia czy propaguje, ale wartości, jakie sobą reprezentuje. Byłaby to sprawa nieistotna, gdyby nie fakt, że w ten sposób wyrażono odkrywcze przekonanie, iż inteligent musi być człowiekiem kulturalnym. Dziś takie aspiracje mają również ludzie, którzy nie legitymują się dyplomem wyższej uczelni i jest to zupełnie naturalne. Nie jest to więc cecha właściwa tylko inteligencji. Smutne natomiast jest to, że przyszli inteligenci mają trudności z określeniem swoich poza zawodowych zainteresowań.

Trudno mi też zgodzić się z twierdzeniem że inteligenci mają nieść w naród „pewne wzorce zachowań", że ich sposób bycia i styl życia ma być godny naśladowania, że obarczeni są misją niesienia w lud kultury i oświaty. Coś zmieniło się w tym kraju od końca XIX wieku i warto byłoby to zauważać. Dlatego szczególnej uwadze polecam słowa Grzegorza Miłostonia, który we wspomnianej dyskusji słusznie zauważył, że „uniwersytet nie jest na bezludnej wyspie". Inne uczelnie również. Ale z tego stwierdzenia warto wyciągnąć pewne wnioski.

Kto ma to zrobić? Jest to chyba pytanie najbardziej kłopotliwe bo wiem, że w takich przypadkach zwykle najchętniej jedni spoglądają na drugich, oczekując z nadzieją, że zajmie się tym ktoś inny, że to jego nie dotyczy. Coś jak w oklepanym dowcipie o kelnerach: — To nie mój rewir. Kolega!

Jeśli więc „proszę o głos" w sprawach przyszłych intelientów, to nie dlatego, aby robić przykrość uczestnikom dyskusji, wykazując, że nie potrafili odpowiedzieć na postawione sobie pytanie: „JACY MAMY BYĆ?", ale dlatego, aby tym mocniej zaakcentować, że „niedobrze dzieje się w studenckim królestwie". A wniosek ten nasuwa nie tylko brak odpowiedzi na postawione pytanie, nie tylko anachronizm w rozumienie roli i pojęcia współczesnej inteligencji, ale również kilka istotnych i krytycznych uwag na temat studenckiego życia. I one są najcenniejsze, choć to mało jak na odpowiedź na tak ważkie pytanie. Dlatego bardzo bym chciał, aby stały się prowokacją dla studenckiego środowiska i boję się, że znów spotka mnie — i nie tylko mnie — rozczarowanie. Obym się mylił.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TARGI PLASTYKI

Na II Ogólnopolskich Targach Polskiej Plastyki Współczesnej (5—25.11 73 r.) środowisko łódzkie zaprezentowane zostało 288 pracami z dziedziny malarstwa, grafiki, rzeźby, tkaniny artystycznej i sztuki użytkowej. W Targach wzięło udział 26 autorów. Sprzedano 195 prac za około 300.000 zł. Setny nabywca na stoisku łódzkim został uhonorowany nagrodą ufundowaną przez PP PSP, a mianowicie teką grafik Andrzeja Strumiłły. Bardzo to ładnie, że handel sztuką tak nam gładko idzie pod znakomitym patronatem Ministra Kultury.

A na marginesie pytanie za dwa punkty: dlaczego na stoisku łódzkim klient został nagrodzony teką grafik Andrzeja Strumiłły, który jak wiadomo, nie jest reprezentantem środowiska łódzkiego, a warszawskiego? Czy nie można było go obdarować teką grafik na przykład H. Płóciennika albo obrazem na przykład J. Wasiołka? Czyżby łódzcy plastycy byli gorsi od stołecznych? Ktoś tu nie zadbał o tak zwany prestiż i reklamę. Ale zdaje się, że stać nas na to.

A. C.

PAMIĘTNIK BYWAŁEGO

SOBOTA 15 GRUDNIA. Jubileusz Feliksa Żukowskiego. Kawał historii polskiego i łódzkiego teatru. 50 lat! Dobra prasa, więcej niż życzliwa publiczność. Przy pierwszym wejściu Aktora na scenę wszyscy wstają, długo nie milkną oklaski. Również podczas całego spektaklu zrywają się brawa po każdej celniejszej kwestii. A więc dobra prasa i dobra publiczność. Gorzej wypada jubileuszowa sztuka. „Zmierzch długiego dnia" O'Neill'a jest pozycją niemal klasyczną, ale nie można jej po prostu przenosić na scenę. Trzeba mieć do niej jakiś stosunek, a tego zabrakło reżyser Marii Wiercińskiej. Narzeka się często, że ten czy ów reżyser zbyt śmiało poczyna sobie z tekstem wybitnego autora, że nieomal szarga świętości. W tym wypadku odwrotnie, nie użyto ołówka. Zostały wszystkie mielizny tekstu, dłużyzny, niepotrzebne powtórzenia. Było to irytujące i nudne. Podobnie irytowała scenografia i kostiumy podobierane z różnych epok.

Ale sam jubileusz był piękny. Kwiaty i adresy od władz partyjnych i administracyjnych Miasta i Województwa, delegacje zakładów pracy, szkół, teatrów i placówek kulturalnych, setki listów i telegramów. Prawdziwe święto Jubilata i zasłużonego Teatru im. Jaracza, piękny ukłon w stronę ludzi sztuki, gest nie tylko symboliczny. Uznanie dla twórców to przecież najważniejsza rekompensata i podstawowy warunek tworzenia sprzyjającego klimatu — rzeczy najważniejszej.

CZWARTEK 20 GRUDNIA. Na filmie „Komandosi". Ale nie o tym, bo po co? Inaczej patrzymy na wojnę, my tutaj, inaczej oni tam, na Zachodzie. Może jednakowo jesteśmy przeciw, oni i my, zwykli ludzie. Ale wojna to nie bezsensowna wielka rzeźnia, jak ją przedstawiono w tym afrykańskim epizodzie. To także nie western, wielka przygoda, jak w „Działach Navarony".

Są jednak takie filmy o wojnie jak „Gorący śnieg". Film prawdziwy, mądry, głęboko ludzki, chociaż tak samo tragiczny. Film powstały z dobrej literatury, powieści Bonadariewa pod tym samym tytułem, ale również można powiedzieć, że napisany przez życie, owe tragiczne dni 43 roku, kiedy Manstein przedziera się z armiami pancernymi do okrążonego pod Stalingradem Paulusa.

I w sumie może porównanie nietrafne, niepotrzebne. W „Komandosach" absurd i bezsens walki, śmierci. W. „Gorącym śniegu" śmierć tak samo okrutna, decyzje wydawałoby się nieludzkie ale konieczne dla wygrania bitwy, lecz wojny. Heroizm, poświęcenie, odwaga mają tu ludzki wymiar i w imię ocalenia innych ludzi — są spełnieniem najwyższego nakazu.

Ten film stanowczo za szybko zszedł z ekranu.

PIĄTEK, NAZAJUTRZ. Wizyta w domu, to bywanie u nas, dzięki telewizji. Po dłuższej przerwie Wojciech Młynarski. Nie tak dawno nabijano się z przyjęcia Młynarskiego do Związku Literatów. Niepoważna sprawa. Wojciech Młynarski to prawdziwy człowiek pióra, poeta i przedni felietonista, buszujący przede wszystkim po dość wstydliwie przemilczanych obszarach naszej współczesności. Człowiek pióra, chociaż tego nie widać, bo śpiewa, recytuje, opowiada, ale przecież nie od dzisiaj coraz więcej pisarzy sięga po kamerę filmową, radiowy mikrofon, tworzy scenariusze widowisk telewizyjnych. Młynarski tego nowego ducha czasu czuje i słusznie obiera taką formę wypowiedzi. I na brak zwolenników nie narzeka. Chociaż kpi nieraz gorzko, przedrzeźnia, nie oszczędza nikogo. Tylko, że jego szyderstwa są mądre, przemyślane, celne, zawsze śmieszne, co pozwala przełykać je tak jak zażywa się lekarstwo. Gorzkie, no cóż, ale trzeba je dla zdrowia zażyć.

JUŻ PO ŚWIĘTACH. Wyjątkowo długie, spokojne. I czas na lekturę, tę lżejszą także. Z Wydawnictwa „Pax" mała książeczka Henryka Czyża, latającego dyrygenta, jak można by sparafrazować znany tytuł. Wybitny kompozytor i dyrygent, muzyk, ale także człowiek o nieposkromionych ciągotach do pióra. Pisał korespondencje zagraniczne do „Przekroju", dla radia, libretto dla „Białowłosej". Och, był za te wierszyki do śpiewania, obśmiany okrutnie. I dość słusznie, bo teksty były grafomańskie, ale czy nie potraktowano ich zbyt poważnie? Sam się wtedy irytowałem jak diabli. I tak samo przy uroczej skądinąd książeczce „Ucieczka spod klucza". Dlaczego? Henryk Czyż, obecnie dyrektor muzyczny w Düsseldorfie i kierownik artystyczny Filharmonii Łódzkiej, ma wiele do powiedzenia czytelnikowi. Pyszne anegdoty o osobistościach świata muzycznego, ciekawe fakty, obserwacje, refleksje, ogromne poczucie humoru. I na tej podstawie nadzieja, że się nie obrazi, kiedy mu doradzę, żeby sobie dał spokój z „prawdziwą" literaturą, reprezentowaną w książce przez wątek Anioła i wuja Baltazara. Zgrabnie to napisane, ale nic więcej, czyli po co?

Tak czy inaczej książka Henryka Czyża znalazła się na liście tygodniowych bestsellerów „Głosu Robotniczego". Czytelnicza intuicja nie zawiodła. Czekać tylko wypada na dalszy ciąg „zapisków pana dyrygenta", jak sam je żartobliwie określa.

JEŻ

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny). WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

HISTORIA (DRUGA WOJNA ŚWIATOWA)

Początek 1940 r. dla Anglii i Francji nie wydawał się zapowiadać obiecująco. Wprawdzie nie zanosiło się na razie na to, że tzw. "drôle de guerre" zamieni się w prawdziwą wojnę, ale już nadchodzące miesiące miały całkowicie zmienić tę sytuację. Niemcy już od dłuższego czasu prowadziły bowiem intesywne przygotowania do realizacji następnego etapu swojego programu aneksji. Tym razem celem ich agresji miały być państwa Europy Zachodniej najpierw Dania i Norwegia potem Francja, Belgia, Holandia i Anglia. Wojna, która trwała już od kilku miesięcy toczyła się właściwie tylko na morzach. Na lądzie i w powietrzu panował na razie zupełny spokój.

ANDRZEJ BLAJER

„OPERACJA - BAKU"

(Część I)

Część pierwsza artykułu Andrzeja Blajera prezentuje mało znany epizod z dziejów II wojny światowej.

Przygotowując swój artykuł autor oparł się na licznych dokumentach i opracowaniach:

Günter Kahle: „Das Kaukasusprojekt der Alliierten vom Jahre 1940" Westdeutscher Verlag, Opladen, 1973.

„Geheimakten des französischen Generalstabes", Berlin 1941, dok. nr. 19, 22, 23, 25, 27, 28, 32, 34, 38.

„Historia Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego 1941–1945" Warszawa 1964, T: 1 s. 355–356, 367–368.

D. M. Proektor: „Wojna w Europie 1939–1941", Warszawa 1966, s. 160–163.

„Voprosy Istorii" nr 2/1949, s. 101–108.

Maria Turlejska: „Prawdy i fikcje. Wrzesień 1939 – grudzień 1941", Warszawa 1968, s. 314–315.

Andreas Hillgruber: „Hitlers Strategie. Politik und Kriegführung 1940–1941", Frankfurt am Main, 1965 s. 55–57.

„Völkischer Beobachter" Jg. 1940, nr 186, 187, 193, 195, 197, 198, 203, 206.

„Evening Standard", 2.3.1940, s. 2: Cpt. Lidell Hart – „Middle East War?"

„Documents on German Foreign Policy", Washington 1956, seria D, T: VIII, dok. nr. 208, 543, 574, 576, 578, 636.

Winston Churchill: „The Second World War", 1950, T: III, s. 31 (z listu Churchilla do prezydenta Turcji Inönü z 31.1.1941)

Maurice Gamelin: „Servir", Paris, 1947, T: III „La Guerre" (Septembre 1939 – 19 mai – 1940), s. 199.

Charles de Gaulle: „Pamiętniki wojenne", T: I „Apel 1940–1942", Warszawa 1962.

Gerhard L. Weinberg: „Germany and the Soviet Union 1939–1941" Leiden 1954, s. 90.

Franz Halder: „Dziennik wojenny" T: I, Warszawa 1971, s. 205, 277, 290.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW" dalsze losy „OPERACJI BAKU".

Mimo przewagi liczebnej, flota aliantów zachodnich zwłaszcza handlowa ponosiła ogromne straty wskutek działalności hitlerowskich okrętów podwodnych. Cel niemieckiej strategii był jasny — należało doprowadzić do załamania ekonomicznego Wielkiej Brytanii w ślad za czym nastąpiłoby jej załamanie polityczne. Realizację tego celu zamierzano osiągnąć najpierw poprzez blokadę, a później drogą całkowitego oblężenia Wysp Brytyjskich. Ze swej strony Anglicy mieli w odniesieniu do Niemiec podobne zamiary przy czym ich koncepcja wojny ekonomicznej z Rzeszą polegała na odcięciu dostaw głównych surowców strategicznych jak ruda żelaza i ropa naftowa. Głównymi źródłami tych surowców dla Niemiec były Szwecja i Rumunia, toteż w Londynie uważano, iż gdyby udało się pozbawić Rzeszę tych dostaw nie byłaby ona w stanie prowadzić wojny i zostałaby zmuszona prosić o pokój. Próby przeciągnięcia Rumunii na stronę Anglii i Francji nie cieszyły się zbytnim entuzjazmem rządu króla Karola II, albowiem mimo gwarancji brytyjskiej z kwietnia 1939 r., w Bukareszcie nie bardzo wierzono w skuteczność „pomocy" aliantów. Zresztą doświadczenia Czechosłowacji z 1938 r. i Polski z 1939 r. wydawały się być tego najlepszym potwierdzeniem.

Anglia i Francja spodziewając się niebawem niemieckiego ataku skierowanego przeciw nim, dla ratowania własnej skóry, planowały otwarcie nowych teatrów operacyjnych, które mogłyby odciągnąć uwagę Niemiec od myśli o wiosennej ofensywie na Zachodzie. Nie brakło wśród nich projektów awanturniczych i całkowicie pozbawionych logiki jak np. plan ataku na radzieckie gruzińsko-azerbejdżańskie zagłębie naftowe. Jest to notabene najlepszym dowodem na to, że czołowe mocarstwa kapitalistyczne nadal nie wyciągnęły właściwych wniosków z błędów, które doprowadziły do wybuchu wojny. Świadczy to również o tym, iż kierownicze kręgi Francji i W. Brytanii w swym antykomunistycznym zaślepieniu wciąż stawiały Niemcy hitlerowskie i Związek Radziecki na jednej płaszczyźnie, uważając oba państwa za równorzędnych wrogów.

Wspomniany plan jest stosunkowo mało znanym epizodem II wojny światowej, warto więc poświęcić mu nieco więcej uwagi zwłaszcza, że pojawiły się pewne szczegóły, które rzuciły nań nowe światło. Niedawno w Niemieckiej Republice Federalnej ukazała się praca historyka **Güntera Kahle** zatytułowana **„Das Kaukasusprojekt der Alliierten vom Jahre 1940"** (Kaukaski projekt aliantów z 1940 r.) Z materiałów zawartych tak w tej książce jak i w innych opracowaniach oraz zbiorach dokumentów wynika, że inicjatorem owego projektu był francuski wódz naczelny **Maurice Gamelin.** W nocie skierowanej 16 stycznia 1940 r. do **premiera Daladiera** sugerował podjęcie działań przeciw zagłębiu naftowemu w Baku, mających jakoby uniemożliwić radzieckie dostawy ropy dla Niemiec. Import ropy naftowej z ZSRR do Rzeszy został istotnie zwiększony z chwilą wybuchu wojny, ale kształtował się na poziomie 1 miliona ton rocznie, czyli był mniejszy niż import z Rumunii, który wynosił ponad 2 mln ton.

Operacja proponowana przez generała Gamelina wymagała jednak współdziałania ze strony południowych sąsiadów ZSRR tj. Iranu i Turcji, których rządy łudzone w zamian koncesjami terytorialnymi, były skłonne pozytywnie ustosunkować się do tych sugestii. 19 stycznia 1940 r. premier Francji **Daladier** zalecił **gen. Gamelinowi** i admirałowi **Darlanowi** opracowanie planu zniszczenia radzieckiego przemysłu naftowego. W miesiąc później, 22 lutego 1940 r. gen. Gamelin w przesłanym premierowi memorandum wskazał, iż dla zniszczenia ośrodków naftowych Baku i Batumi powinny zostać przeprowadzone działania lotnicze. W dalszej części plan zakładał, że gdyby ZSRR w odpowiedzi na atak lotnictwa francusko-brytyjskiego z baz w Syrii odpowiedział uderzeniem na Turcję (samoloty przeznaczone do nalotu na zagłębie naftowe musiałyby bowiem uzyskać zgodę Turcji na przelot nad jej terytorium), wówczas na pomoc jej ruszą siły sojusznicze stacjonowane w Syrii i Palestynie. Sprawę tę następnie badał 23 marca 1940 r. gabinet francuski, a wkrótce zaaranżowano w tym celu w Aleppo konferencję przedstawicieli sztabów francuskiego, angielskiego i tureckiego. Jak na ironię, gdy 3 marca 1940 r. został ostatecznie zatwierdzony „Fall Gelb" — plan ataku Niemiec na Francję, francuscy sztabowcy nadal analizowali możliwość dokonania nalotów na radzieckie zagłębia naftowe. Jak pisał później w swych pamiętnikach **generał de Gaulle** — całe nieszczęście mające już wkrótce zaważyć tragicznie na losach Francji, a z nią i całej Europy, tkwiło w tym, iż **„nasze koła rządzące więcej myślały o uderzeniu na ZSRR, o bombardowaniu Baku, o desancie w Konstantynopolu niż o walce z hitleryzmem".**

Dla ówczesnych przywódców obu mocarstw pierwszoplanowym wrogiem był Związek Radziecki. Jeśli ktoś miałby jakieś wątpliwości, to wszelkie iluzje rozwiewają słowa wypowiedziane wówczas przez naczelnego dowódcę sił sojuszniczych gen. Gamelina. Stwierdził on mianowicie, że oba mocarstwa zachodnie, przeciwnicy Hitlera, powinny zadać bardzo ciężki, jeśli nie decydujący cios organizacji wojskowej i gospodarczej Związku Radzieckiego. Nadchodzące tygodnie miały jednakże pokrzyżować te plany. Oto bowiem 10 maja 1940 r. hitlerowski Wehrmacht rozpoczął ofensywę na froncie zachodnim i projekt bombardowania trzeba było odłożyć ad acta.

Wspomniany wyżej historyk **Günter Kahle** nie jest bynajmniej pierwszym, który ujawnia te fakty gdyż pierwsze publikacje na ten temat rozpowszechnił aparat niemieckiej propagandy zaraz po zakończeniu kampanii francuskiej. Znaleźć je można między innymi w centralnym **organie prasowym NSDAP „Völkischer Beobachter"**, oraz w **przemówieniu Hitlera w Reichstagu z 19 lipca 1940 r.** Nieco później wydano w Berlinie specjalny zbiór tych dokumentów zatytułowany: **„Die Geheimakten des französischen Generalstabes"** („Tajne akta francuskiego sztabu generalnego"). Aczkolwiek ich autentyczność jest bezdyskusyjna to również oczywistymi były powody, dla których je opublikowano. Chodziło przecież o to, aby osłabić wrażenie, jakie w światowej opinii publicznej wywołała nowa agresja Niemiec, po to aby zarazem wskazać, że prawdziwymi podżegaczami wojennymi i agresorami są Francja i Anglia.

Jak Niemcy weszli w posiadanie tych materiałów. Otóż stało to się zupełnie przypadkowo. Niemieccy żołnierze znaleźli je w wagonie towarowym na dworcu La Charité-sur-Loire wśród porzuconych tajnych akt francuskiego sztabu generalnego. Jednak do pełnego obrazu planowanej operacji brakowało wówczas angielskich planów, które zachodnioniemiecki historyk odszukał wśród opublikowanych niedawno kolejnych tomów dokumentów Foreign Office z okresu II wojny światowej.

Londyn i Paryż rozważały wprawdzie ów plan wspólnie ale kierowały się różnymi motywami. Anglicy zakładając, że blokada gospodarcza III Rzeszy jest najpewniejszą drogą do zwycięstwa, uważali iż bombardowanie złóż naftowych Kaukazu utrudni armii niemieckiej zaopatrywanie się w paliwo. Francuzi natomiast chcieli wykorzystać to dla stworzenia nowych teatrów działań wojennych, trzymających konflikt jak najdalej od granic ich państwa. Z tego właśnie względu eksperci wojskowi obu mocarstw brali początkowo pod uwagę możliwości wysłania korpusu ekspedycyjnego do Skandynawii, aby przy okazji wesprzeć pomocą Finlandię prowadzącą wojnę przeciw ZSRR, a jednocześnie zabezpieczyć złoża rudy w północnej Szwecji przed ewentualnym przechwyceniem ich przez Niemcy. Był to „Północny plan" i prace nad nim trwały już od stycznia 1940 r. Przewidywał on koncentryczne uderzenie sił alianckich na ZSRR z kilku kierunków równocześnie. W efekcie chciano w ten sposób stworzyć warunki do zawarcia pokoju na zachodzie i rozpoczęcia wspólnego marszu **„zjednoczonej w ten sposób kapitalistycznej Europy"** przeciw Krajowi Rad. Plan zakładał oprócz lądowania wojsk alianckich w Petsamo, jednoczesne zajęcie portów i lotnisk na zachodnim wybrzeżu Norwegii, a na dalszą metę przewidywano, że operacje mogą być przeniesione na terytorium Szwecji. Do wykonania tego zadania został wyznaczony około 150-tysięczny anglo-francuski korpus ekspedycyjny. Równocześnie z tym planem był realizowany omawiany już wyżej „Południowy plan", w myśl założeń którego, **15 maja 1940 r. siły alianckie miały rozpocząć działania ofensywne przeciw Związkowi Radzieckiemu,** jednoczesnym uderzeniem z północy poprzez terytoria Finlandii, Norwegii i Szwecji przy wsparciu armii tych państw, a także z południa od strony półwyspu bałkańskiego i Bliskiego Wschodu, przy wciągnięciu do konfliktu Jugosławii, Grecji oraz Turcji i Iranu. Kierownictwo operacji na południu miał objąć **gen. Weygand** przy ścisłej współpracy z brytyjskim **generałem Deedsem.** W tym celu został on wysłany do Bejrutu, skąd tak pisał w liście do gen. Gamelina:

„Jeżeli chodzi o mnie, uważam za najważniejsze skręcić kark Związkowi Radzieckiemu w Finlandii lub(...) w jakimkolwiek innym miejscu(...)".

POLSKA MYŚL marksistowska

Mamy do czynienia z osobliwym zjawiskiem. Nikt oczywiście nie zaprzeczy, że problematyka dziejów myśli marksistowskiej w Polsce należy do tych zagadnień, które słusznie wysuwają się na czoło zainteresowań naszych historyków myśli społecznej i filozoficznej. Nie ulega też wątpliwości, że dorobek w tym zakresie jest już spory, a wyliczenie choćby tylko najważniejszych prac zajęłoby wiele stron maszynopisu. Jednocześnie jednak nie sposób nie dostrzec, że jest to dorobek bardzo jednostronny: podczas gdy takie problemy, jak początki marksizmu w Polsce, doczekały się licznych wyczerpujących studiów, inne grupy zagadnień, o wcale nie mniejszym znaczeniu, wciąż jeszcze leżą odłogiem. Historyk filozofii Seweryn Dziamski słusznie zwraca uwagę, że najbardziej dotkliwe niedostatki badań odczuwa się w odniesieniu do okresu międzywojennego, który wydaje się być szczególnie ważnym etapem rozwoju myśli marksistowskiej w naszym kraju. Czasy te charakteryzuje „nie tylko przezwyciężenie schematycznego i dogmatycznego ujęcia szeregu kwestii ideologicznych i filozoficznych, ale przede wszystkim wzmożone oddziaływanie myśli marksistowskiej na praktykę badawczą, kulturotwórczą i społeczną środowisk naukowych, literackich i pedagogicznych". Jest to okres ścierania się najrozmaitszych nurtów filozoficznych i ideologicznych, bez których zbadania trudno będzie choćby w przybliżeniu określić, jakie miejsce przypadło myśli marksistowskiej w przemianach dokonujących się wówczas w naszym kraju.

Szczególnie wielkie są niedostatki naszych badań na odcinku marksistowskiej myśli historycznej w Polsce. Wstępne uogólnienia, jakie formułuje S. Dziamski w zarysie polskiej filozoficznej myśli marksistowskiej lat 1878–1939, są cenne, chociaż nie mogły zostać oparte o pogłębione badania analityczne, skoro takich dotychczas prawie nie posiadamy. Aby sobie lepiej uświadomić, jak znaczne są tu luki naszej wiedzy, posłużmy się drastycznym przykładem. Gdy mówimy o dziejach marksistowskiej refleksji historycznej w Polsce nasuwają się nam na pamięć przede wszystkim nazwiska Ludwika Krzywickiego, Róży Luksemburg, Kazimierza Dłuskiego i bardzo niewielu innych. Tymczasem nadzwyczaj interesujący i spory dorobek historyczny działacza tej miary, jak Julian Marchlewski, jest do dzisiaj niemal niezauważony, chociaż właśnie spod jego pióra wyszedł pierwszy zarys dziejów Polski, doprowadzony jedynie do XVI stulecia, w którym autor starał się świadomie i konsekwentnie zastosować dyrektywy materializmu historycznego do analizy polskiego procesu dziejowego. Praca ta została niemal zupełnie zapomniana, została pominięta we wszystkich nowszych edycjach tekstów J. Marchlewskiego (wydrukowano ją raz jeden, w tłumaczeniu z niemieckiego oryginału na rosyjski, w wydaniu pism polskiego rewolucjonisty, jakie ukazało się w początku lat trzydziestych naszego wieku w Moskwie), nie weszła do naukowego obiegu i właściwie nie została zauważona przez badaczy dziejów polskiej myśli marksistowskiej, do S. Dziamskiego włącznie.

Historyk marksistowskiej filozofii w Polsce przypomniał wiele nazwisk, do których dziś rzadko się już wraca. Zatrzymajmy się nad jednym. W okresie międzywojennym oprócz dorobku przywódców i teoretyków klasowego ruchu robotniczego w marksistowskiej refleksji filozoficznej na ważne miejsce wysuwa się twórczość Stefana Rudniańskiego. „Był on pierwszym filozofem w dziejach polskiej filozoficznej myśli marksistowskiej uprawiającym ją profesjonalnie" podkreśla S. Dziamski. „Rudniańskiemu obcy był schematyzm i dogmatyzm. Cenił on nade wszystko marksistowski aktywizm, który ujmował jako podstawową kategorię materialistycznego, naukowego poznania rzeczywistości i jej rozwoju. Dialektyczną metodę marksistowską Rudniański zastosował po raz pierwszy w Polsce do badań historycznych w filozofii". Od młodości związany z ruchem socjalistycznym, członek SDKPiL a potem KPP, był wybitnym działaczem społecznym, pedagogiem i filozofem, docentem Wolnej Wszechnicy Polskiej, uczelni na której działało wielu lewicowych intelektualistów...

Lektura książki S. Dziamskiego pozostawia wrażenie niedosytu: jak wiele spraw jest wciąż zbyt mało znanych, ile jeszcze należałoby zrobić, by dojść do rzeczywiście pełnego, wszechstronnego obrazu dziejów myśli marksistowskiej w Polsce! Jednocześnie jednak pomaga nam poznać, że w naszym marksistowskim dorobku przeszłości kryje się wiele myśli cennych, wartych przypomnienia. Niegdyś, niedługo po wojnie, czołowy wówczas rzecznik marksistowskiej filozofii w naszym kraju wysilał swój intelekt aby wykazać, że wszystko co było dawniej, cały właściwie dorobek poprzednich pokoleń polskich marksistów, składa się jedynie z różnych „izmów" i zda się psu na budę. Czas przekreślił te schematy, a późniejszy dorobek naukowy nie tylko potwierdził, że marksizm w Polsce nie zaczął się od autora „Wstępu do teorii marksizmu", lecz również, że może liczyć na swym koncie wartościowy dorobek intelektualny, nie bez znaczenia również dla człowieka współczesnego.

LEKTOR

S. Dziamski, Zarys polskiej filozoficznej myśli marksistowskiej 1878–1939, Warszawa, PWN, 1973

Listy do Redakcji

KRONIKA TOWARZYSKA?

Szalenie spodobał mi się pomysł Czesława K. Borkowskiego względem wprowadzenia na łamy „Odgłosów" Kroniki Towarzyskiej (Nr 46 z 15. 11. 73 r.). Co prawda Czesław K. Borkowski czyni to jeszcze w formie bardzo nieśmiałej i dalekiej od doskonałości, a i nie precyzuje koncepcji nowej rubryki otwarcie i do końca, niemniej — jak to onegdaj mawiali starożytni — sapientis sat.

Otóż właśnie — sapientis sat!

A przyznać trzeba, że potrzeba takowej rubryki była ogromna i brak jej stanowi fatalne niedopatrzenie ze strony redakcji. Wszyscy wreszcie żyjemy intensywnie, a jeśli już nie intensywnie, to jakoś tam przecież żyjemy i nie ma najmniejszego powodu, aby pewne fakty z tegoż życia nie były podawane do publicznej wiadomości, zwłaszcza wtedy, gdy tyczą się tak zwanego życia prywatnego niektórych osób. Czesław K. Borkowski zaczął Kronikę nad wyraz skromnie, bo od mojej osoby i od jednego tylko zdarzenia, mianowicie mojej krótkiej obecności na wernisażu, na którym jakoby puszczano „Potiomkina" do góry nogami i strzepywano popiół w czyjeś usta i mojej o wiele dłuższej obecności na barowym stołku w drugiej sali lokalu. Liczy się jednak intencja i inwencja, dlatego należy wybaczyć K. Borkowskiemu powyższą niefortunność w wyborze osoby, jak również brak rutyny (początki to przecież).

Sam autor pomysłu raczy mi z kolei wybaczyć, iż służyć mu będę pewną radą, która, być może, przyda mu się przy dalszym redagowaniu Kroniki. Otóż Kronika Towarzyska, aby istnieć i prosperować, musi robić wrażenie informacji pełnej i źródłowej. Otóż czytającego Kronikę nie obchodzi bynajmniej, czy dana osoba była na przykład na wernisażu takim czy innym. Czytający chce wiedzieć, co owa osoba robiła po wernisażu: a więc gdzie była i czy była sama czy też w towarzystwie; jeśli w towarzystwie, to w jakim — męskim czy damskim; co piła owa osoba z tą drugą osobą (zakąski można tu sobie darować) i czy piła skutecznie, to znaczy do oporu, czy też w miarę, ot — tak tylko, pół litra dla towarzystwa. Ważną jest sprawą, czy owa osoba zapłaciła rachunek gotówką, czy piła na kredyt, czy też w zastaw poszedł złoty szafhauzen, czy też jedynie pobiedła. No i oczywiście, co było potem też czytającego Kronikę interesuje. Można tu naturalnie popuścić wodze fantazji bo i tak są to sprawy trudne do sprawdzenia. Osoba omawiana nie będzie swego dochodzić, bo jej nie wypada a ponadto trudno jej będzie o przekonywające dowody. W takiej sytuacji!? Więc można sobie śmiało poużywać ku ogólnemu zadowoleniu. I to byłoby tyle.

O wiele lepiej radzi sobie z Kroniką Towarzyską Włodzimierz Finke (nr 50 „Odgłosów" z 13 12. 73 r.). Pisze on:

„Po wernisażu wystawy „Reprodukcja" rzeźba inspirowana kadrem z „Pancernika Potiomkina" zawędrowała do restauracji, gdzie oczekujący skandali artystycznych Feridun Erol... dopełnił „wernisażu".

To jest właśnie prawie TO!

Gdyby jeszcze dodać do tego opis, w jaki sposób oczekujący skandali (przypuszczam, że z utęsknieniem) artystycznych Feridun Erol dopełnił i z kim dopełnił oraz gdzie dopełnił i czy dopełnił do pełna, czy jeno do menisku wklęsłego — otrzymalibyśmy kronikarski majstersztyk. Ale i tak wcale dobrze.

I to byłoby tyle. Czekamy na dalsze obrazki z wiedeńskiego lasku.

ANDRZEJ GRUN

PS. Jak mi opowiedział mój przyjaciel, znany krytyk, Karol Barszczewski, rzeźba zmieniła lokal jeszcze w trakcie trwania wernisażu. I nikt tego nie zauważył. Nawet sam autor. Eh, ta awangarda, awangarda... A ileż niespodzianek w tej awangarde.

A. G.

Dalszy ciąg ze str. 1

moje są szczególnie niedoświadczone, w każdym bądź razie jakże często nie mogłem w pierwszej chwili zorientować się, kiedy jakaś akcja „wkracza" z filmu na scenę, kiedy ze sceny przenosi się do filmu. I aktorów nie mogłem zliczyć — było to coś z multyplikacji. Dopiero po przedstawieniu, gdy aktorzy wespół z realizatorami długo stali wśród braw, okazało się, że zespół składa się z jakichś, no, trzynastu osób, bo i wtedy jeszcze w oczach miało się kalejdoskopową zmienność.

Dwuczęściowy program nie wymagał skromnej choćby znajomości języka. A z czegóż to zgodnie śmialiśmy się „we wszystkich językach"? Przeważnie z makabreski — gdzie ręce? gdzie nogi? do kogo strzelają? kto spada z samolotu? Ano (po czesku: tak), przyzwyczailiśmy się, nauczyła nas tego współczesna sztuka, pełna ironii, drwiny i właśnie makabry.

Świetny program (zwłaszcza jego część pierwsza) — wszystko jednak ma swoje źródło w tej zabawnej od początku synchronizacji — przeto nie wyobrażam sobie, by tę zasadę dało się z powodzeniem eksploatować i mnożyć w wielu następnych przedstawieniach, w sposób równie silnie widza angażujący, czy jednak o to chodzi? Widz tutaj się zmienia, program można zapewne pokazywać dwa albo trzy lata.

WĘDRÓWKI

Najstarszy i najbogatszy architektonicznie gotycki most Karola — wśród barokowych rzeźb odnalazłem św. Krzysztofa, patrona Pragi i pewnego innego bliskiego mi miasta — został poddany pracy konserwatorskiej, można więc spokojnie po nim się szwendać.

Konserwuje się nie tylko ten most. Zabytki wymagają opieki, ta zaś fachowców, materiałów i pieniędzy. Skarży się pewien pan na te właśnie wydatki. Słuchając go, myślę sobie: Oczywiście, że koszt, ale nie taki jak przy wywoływaniu miast z ruin, jak właściwie miast kreowanie, wznoszenie zarówno ich przeszłości, jak i teraźniejszości.

W Pradze także buduje się. Obok mego czteropiętrowego starego hotelu „Paryż" Szwedzi dniem i nocą wznoszą nowy, buduje się przede wszystkim metro. Stara Praga jest ciasna, ma wiele wąskich uliczek, niektóre już teraz nie są dozwolone, i słusznie, dla pojazdów. Bo jednak Praga jest „zlata", jest rzeczywiście miastem zabytków, rozmaitych wspaniałości, wszelakich świadectw czasu przeszłego.

Wędruję widocznie szlakami zwykłymi dla turystów, gdyż wszędzie odczuwam ich obecność. Najczęściej słyszę i widzę Niemców. Są bowiem głośni, jednocześnie jednak wyjątkowo pokorni wobec zawodowych oprowadzaczy — cokolwiek ci mówią, niemieccy turyści słuchają z nabożeństwem, a niektórzy nawet skrupulatnie notują. I wszędzie się fotografują! W różnych sytuacjach i okolicznościach.

Jeśli chodzi o tłumek w Pradze, jest on co najmniej schludniejszy, niż podobny tłumek u nas w podobnych sytuacjach — nie widzi się natomiast szokujących wysko-

HRADCZANY *Fot. Archiwum*

KACZKI NA WEŁTAWIE

ków mody, jaskrawych w sensie ubioru osób i osóbek, aczkolwiek nie sądzę, aby to wynikało z braku środków materialnych. Po prostu gotów jestem twierdzić, iż wśród Czechów nie działają dewizy w rodzaju „zastaw się a postaw", nie zależy im na zadawaniu szyku, zaczynającym się u nas już w szkołach, co wynika z niezdecydowania czynników rządzących oświatą, choć jasne postawienie sprawy samo się od dawna narzuca.

Właśnie przeczytałem w „Polityce" reportaż z wysłania naszych jakże sympatycznych spadochroniarzy pod flagą ONZ. Wszystko mi się w reportażu, podobało prócz: **„Płk dypl. Jerzy Jarosz... odpowiada bez wahań krótkimi zdaniami, to samo zaleca żołnierzom na ostatniej odprawie wojskowej przed wyjazdem, z której to odprawy, zresztą, odsyła jeszcze paru do fryzjera..."** A do licha! — zawołałem. Wojsko czy nie wojsko? Za moich czasów żaden bezpośredni przełożony na co dzień nie przeoczyłby obowiązku żołnierza względem fryzjera. A do licha szkoły, czy nie szkoły?

A więc ja nie zauważyłem krzykliwości drogich ciuchów, wyścigu w jaskrawości z wyścigiem złego smaku, rozpasanego niechlujstwa, tych różnych majtadałów. Widywałem natomiast każdego wieczora — zwłaszcza w pobliżu różnych lokalików, gdzie można tańczyć i napić się wina — grupy młodych ludzi, ubranych na czarno, w białych koszulach, uzupełnionych u góry motylkiem czyli muszką, czyli krawatem w kształcie kokardki. Kim są ci młodzi ludzie? Jakąś jeszcze jedną odmianą kontestatorów? (Jeden z głupszych, nic nie oznaczających terminów, jakiego od paru lat używają u nas nawet wcale skądinąd poważni publicyści. Zapewne importowany?) Okazało się, że wprost przeciwnie. Chcą być eleganccy, jak i my w latach młodości, wybierają się na tańce z dziewczynami, albo też na kursy tańca i dobrych manier. Brawo!

Uogólnianie to tylko jeden z grożących pułapkami nawyków. Drugi — to oglądanie wszystkiego, przyjmowanie każdej turystycznej propozycji. Choć niewiele jeździłem, od dawna wiem, że potrzebna jest selekcja i że w dodatku odznaczam się niezbyt pojemną pamięcią. Lepiej przyswoić sobie jakąś jedną panoramę, jakiś jeden obraz, jakiś jeden fronton, niż w ciągu godziny przelecieć przez Ermitaż czy Luwr.

A przeto...

Karlsztejn, jeden z najwspanialszych (to z encyklopedii) zamków gotyckich Czech zwiedziłem częściowo.

W Konopisté, do zamku, który ongi był letnią rezydencją arcyksięcia Ferdynanda d'Este nawet nie wchodziłem. D'Este muszę się przyznać, nic mi nie mówiło. Dopiero po jakichś minutach skojarzyłem, że to chodzi o arcyksięcia Ferdynanda, którego na swój użytek nazywam Sarajewskim, że chodzi o osobę, która stała się, jak tego uczono nas w przestarzałej szkole, bezpośrednią przyczyną pierwszej wojny światowej. (Chciałem napisać pierwszej światówki, bo tak niektórzy mówią, ale wyobraźnia nie pozwala mi na spoufalanie się ze słowem „wojna"!)

Wolałem pospacerować po tarasach (choć w zamku znajdują się m. in. liczone na tysiące myśliwskie trofea Habsburga) z nieco już więdnącymi różami, oglądać pawie, z góry patrzeć na jezioro i lasy, pobłąkać się nieco po parku, w którym wiele posągów.

W drodze powrotnej wpadamy w jakimś miejscu na autostradę (ma za parę lat przeciąć całą Czechosłowację), kierowca chce popisać się nową wołgą, czerwona żyłka szybkościomierza przekracza liczbę 140. Wszystko jednak i wszędzie wskazuje na to, że dozwolona szybkość jazdy z roku na rok będzie spadać o wiele poniżej setki.

Za to...

Ze dwie popołudniowe godziny spędziłem na cmentarzu **SLAVI** na Wyszehradzie w Pradze. Pod arkadami, tworzącymi prostokąt, niemal panteon narodowy. Na licznych nagrobkach i pomnikach nazwiska i mnie znane, związane ze sztuką, z literaturą.

Znajduję tutaj, ale nie pod arkadami, mogiłę Karola Capka, (zmarł w grudniu 1938 roku, wydarzenia polityczne przyśpieszyły jego śmierć), tak i u nas przecie popularnego, bo ostatnio i jako autora sztuki „Matka", nadanej przez naszą TV ze znakomitą Ryszardą Hanin w roli głównej. Na mogile miseczka z wodą. Mój przewodnik, pan Karel, opowiada mi, iż było wolą pisarza, aby ptaki mogły zawsze na jego grobie ugasić pragnienie.

Z **Wyszehradu** — podobnie jak i z wysokości Hradczanów — z różnych miejsc widzi się bogatą, rozległą panoramę miasta: Wełtawa, gród aż po nowe, wysokościowe budownictwo na horyzoncie, jeśli trochę przymrużyć oczy, ma się przed sobą coś w rodzaju, powiedzmy, wypukłego gobelinu: zieleń ciemna, złota, czerwona, spiętrzone dachy, kremowe i poczerniałe ściany.

Za to...

Długo zatrzymuję się w niektórych salach w klasztorze **Strakowskim** (w pobliżu Hradczanów), czyli **Muzeum Piśmiennictwa i Literatury**. Widziałem mogiłę, teraz chodzę po sali, poświęconej Bożenie Niemcowej (1820—1862), wybitnej pisarce z okresu odrodzenia narodowego, a także autorce baśni i podań czeskich oraz słowackich. Z portretów patrzy piękna, urodziwa kobieta o żywej twarzy, greckim nosie. Niestety, jej życie osobiste podobno nie było wesołe, ani nawet udane.

I oto w jednej z gablot, po przekroczeniu kilku sal, rękopis iluminowany, tylko trochę przyćmione złoto liter, czerwień inicjałów i błękit, finezyjne majuskuły i minuskuły — Latinská Bible Doksanska z XIII stulecia. Odchodzę i znowu wracam, nie mogę nasycić oczu widokiem dwóch stron rozłożonej niedużego formatu księdze. Ta dbałość kopisty, jego artyzm i cierpliwość, nade wszystko cierpliwość. I ta trwałość!

Przeżywam tę biblię w sposób szczególny może i dlatego, że przypomniał mi się ktoś z innych stron, mój ulubiony białoruski poeta (1891—1917), Maksim Bahdanowicz, tłumaczony przeze mnie wiersz „Przepisywacz". Darujcie, ale:

Na czystym arkuszu, przed wąziutkim oknem
Prześliczne litery piórem wciąż wywodzi,
Wstawiając pomiędzy czarne ich szeregi
Czerwone linijki; różnymi kwiatami
I różnobarwnymi główkami zwierzaków,
Ptaków niewidzianych, splotem zawijasów
On wzbogaca wszystkie — starczy mu biegłości —
Barwne przerywniki, wymyślne winiety,
Staranne nagłówki — dokąd ma się śpieszyć!
... On się znów pochyla, winietę wywodzi
Srebrem niejaskrawym. Dzień przepływa cicho,
Wkrótce noc nastanie. Pierwsza w niebie gwiazda
To błogosławieństwo dla zbożnego trudu.

JAN HUSZCZA

Dalszy ciąg ze str. 1

PUSTA ZIEMIA

„Wydział Budownictwa i Architektury PPRN w Sieradzu przesyła w załączeniu podanie ob. Eugeniusza Nowaka (...) wraz z 3 egz. podkładu sytuacyjnego w sprawie budowy budynku mieszkalnego i gospodarczego do załatwienia wg kompetencji".

Naczelnik Gminy w Zduńskiej Woli, **Stanisław Szewczyk**, w piśmie z dnia 21 maja 1973 r. odpowiedział, że: **„po zbadaniu danych przedstawionych we wniosku i załącznikach odmawia udzielenia pozwolenia na budowę z poniższych względów:**

Działka pod proj. zabudowę położona jest poza terenami budowlanymi. Na podstawie opracowanego projektu wyznaczania terenów budowlanych dla zespołu wsi Janiszewice zatwierdzonego Uchwałą PPRN w Sieradzu nr 76/521/67 z dnia 22.XII.67 r. ob. może ubiegać się o nabycie działki budowlanej we właściwym zaplanowanym miejscu".

Eugeniusz Nowak odwołał się do PPR w Sieradzu, lecz organ odwoławczy w piśmie z dnia 28.VI.1973 r. wyjaśnił, że:

„po przeanalizowaniu akt sprawy uznał zasadność decyzji Urzędu Gminy w Zduńskiej Woli". Natomiast Powiatowe Biuro Geodezji i Urządzeń Rolnych w Sieradzu, ponaglone pismem z Polskiego Radia, w dniu 3 lipca 1973 powiadomiło: „(...) w rejonie tamtejszym może obywatel nabyć działkę budowlaną we wsi Janiszewice, na którą uzyska obywatel zezwolenie na budowę bez żadnych trudności. Bliższych informacji na temat działki uzyskać można w Banku Rolnym w Sieradzu".

Na tym nie koniec. Okazuje się bowiem, że Eugeniusz Nowak otrzymał jednak wyjaśnienie z PREZYDIUM WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ, której WYDZIAŁ GOSPODARKI PRZESTRZENNEJ i OCHRONY ŚRODOWISKA polecił odpowiedniemu wydziałowi PPRN w Sieradzu dokładne rozpatrzenie sprawy i udzielenie odpowiedzi. Sieradz skierował z kolei sprawę (pismo z dnia 9.IX.1973) do zaopiniowania w Urzędzie Gminy w Zduńskiej Woli i... dalej nic się nie dzieje...

Wobec powyższego Eugeniusz Nowak, zrezygnowany niepowodzeniami, zgodził się, jak mu już proponowano, nabyć działkę. Dnia 7 listopada 1973 r. Wydział Rolnictwa, Leśnictwa i Skupu w Sieradzu poinformował go, że:

„na terenie wsi Janiszewice Skarb Państwa (PFZ)dysponuje jedną wolną działką budowlaną. W celu uzyskania bliższych informacji, związanych z jej nabyciem, winien obywatel zwrócić się do Banku Rolnego w Sieradzu, ul. Kościuszki 9".

— No i kupiliście w końcu tę działkę? — spytałem Jana Nowaka.

— Jak byśmy kupili, to pewnie bym już do was wcale nie przyjeżdżał. Zgłosiliśmy się, owszem, gdzie trzeba, ale się z nas naśmiano i powiedziano, że w Janiszewicach nie ma żadnej działki...

Dlaczego Nowak nie może zbudować domu na własnej ziemi? Dlaczego jego syn Eugeniusz zgodził się na kupno działki?

Kiedy pojechałem do Ochraniewa, Jan Nowak wrócił akurat z pracy. Wprowadził mnie do ładnego, jednopiętrowego domku, więc mówię:

— Panie Nowak! Przecież wy tu możecie mieszkać jak królowie, po co więc ta gonitwa po urzędach?

— Bo mnie idzie o sprawiedliwość. Ja, proszę pana, zaczynałem na kolei od zwykłego robotnika, dorabiałem się, jak mogłem. Dziś jestem maszynistą, od sześciu lat jeżdżę na elektrowozach po całej Polsce, ale mi się już odechciewa, bo przez to zmartwienie, co mnie wciąż gryzie, to jeszcze kiedy pociąg rozwalę...

Widzi pan — mówi dalej — jak ja kupowałem w 46 tę działkę, to myślałem o dzieciach. No i sypnęły się, cała szóstka, więc zamierzałem podzielić sprawiedliwie ten hektar, żeby mogli się pobudować. Bo tu u nas robi się ciasno. Mieszka z nami córka Zofia, zamężna, z dwojgiem dzieci. Ona pracuje na kolei, jak zresztą wszystkie moje dzieci, z wyjątkiem najmłodszej córki, która chodzi do liceum. Na piętrze, proszę pana, jest strych, więc luzu dużego nie ma...

— A kto się u was tak kuruje — przerywam nagle wskazując na baterię buteleczek z lekarstwami.

— To ja — mówi żona Nowaka Zofia — bo z tych nerwów ciężko zapadłam na serce. I chciałabym mieć trochę spokoju, a jak by mi się zwaliła na kark jeszcze liczniejsza rodzina, to już koniec... Wszyscy za robotą, nie, a babcia musiałaby każdego w domu obsłużyć...

— My tam nic do dzieci nie mamy — ciągnie Jan Nowak — chociaż grosza się od nich nie wyciągnie, bo po wypłacie jeden z drugim pokaże górala i... schowa do kieszeni. Ale pomóc im trzeba! Bo co będzie, jak najmłodszy syn, który jest teraz w wojsku, ściągnie z Polski dziewczynę? Gienek przywiózł żonę z Olsztyna, ten tu też ma się żenić...

„Ten tu" to syn Jerzy, wysoki, jasnowłosy chłopak, kręcący się po izbie z tranzystorem.

— Wróciłem z wojska w listopadzie i rzeczywiście chciałbym się żenić, może już na Wielka[illegible]

— A narzeczoną skąd [illegible] zywiezie?

Dokończenie na str. 6

FOTOREPORTAŻ:
JANUSZ MENDYCHOWSKI

X ŁÓDZKIE SPOTKANIA TEATRALNE

PIOTR SŁOWIKOWSKI

MASKOWANE OBLICZE

Nie ma nic tak przychylnego i zarazem przeciwnego Sztuce jak festiwale. Wiadomo — są miejscem spotkań twórców, konfrontacji ich osiągnięć, pozwalają dostrzec tych i to, co jest krokiem do przodu lub co stoi w miejscu. Jednocześnie natłok „eksponatów" nie pozwala na wnikliwą ich analizę, nuży, a naturalne pragnienie sensacyjnego objawienia się czegoś nowego wyzwala w nas tendencje do negowania tego, co być może jest dobre, ale nie doskonałe. A, że rewelacje nie zdarzają się tak często, jak byśmy tego chcieli — więc i znakomite festiwale bywają raz na kilka lat. O tych, dziesiątych już Łódzkich Spotkaniach Teatralnych, świadczy najlepiej dyskusja, jaka miała miejsce w czasie trzeciego dnia trwania festiwalu w Klubie 77. Jak to ktoś słusznie zauważył — każdy z dyskutantów powiedział coś od siebie z reguły na inny, niż jego poprzednik, temat. Ot, tak sobie miło poplotkowali. To nie zarzut, bo nie wiem, czy było znowu tak dużo do powiedzenia: — jaki festiwal, taka dyskusja.

WIZJA LOKALNA

„Teatr 8-go Dnia" przedstawił **„Wizję lokalną"**, skomponowaną z wierszy St. Barańczaka, J. Kronhausera, cytatów z A. Camusa, W. Faulknera i Biblii oraz fragmentów artykułów prasowych. (Sami moraliści, jak widać). Ciekawa i zagmatwana konstrukcja rusztowań, to samo można powiedzieć o grze aktorów. Coś z tego wynika — jakieś wątki — zagrożenia, dławienia swobody jednostki, ucieczki w samotność, ale w sumie różnie to można zrozumieć, boć to bardziej gimnastyka cielesna i pojęciowa i wynikające stąd, niezdecydowanie na jednolity kontakt z widzem.

JAKI PORANEK?

Teatr Akademii Medycznej „TAM" przedstawił **„Wczesny poranek"** E. Bonda.

„W inscenizacji ukazany jest przede wszystkim człowiek ze wszystkimi swoimi namiętnościami, niepokojami i samotnością. Człowiek bezsilny i słaby, który nie umie lub nie chce przeciwstawić się swoim kompleksom, impulsom, nienawiściom, miłości czy perwersji seksualnej". — Tak ładnie piszą twórcy spektaklu w biuletynie.

Osobiście nie rozumiem dlaczego w owej wyliczance wad, którym się przeciwstawić pono nie potrafimy, jest i miłość. No, bo czy to źle? Ona, jak to już powiedziano, ma ludzkość zbawić. Nic to, błędy w deklaracjach zdarzały się na festiwalu dość często, ważne jest to, co było na scenie.

A tam — gwałty molto erotico, perwersje per salto egzotico i... kanibalizm pospolity gipsowych członków ludzkich. Czasem tylko, jakiś biedny i bezsilny człowiek, chyłkiem zwiewał z widowni. Trudno było wysiedzieć dla może dwóch, trzech scen interesująco skonstruowanych, jednego wspaniałego monologu o nienawiści.

CIĄG DALSZY...

ST „Kalambur" zaprezentował spektakl pt. **„Dalszy ciąg powrotu do rzeczywistości"**. Pragnąc ukazać rys charakterystyczny, stan świadomości obecnych 20-latków, zakładając równocześnie, że może mu się to wszystko nie udać, bo rysu może w ogóle nie być, choć brak fizjonomii jest także fizjonomią itd. itd. Spiętrzone założenia. Pozwolili sobie twórcy tego przedstawienia na szereg pastiszów innych teatrów studenckich, niby odwołań do systemu znaków właściwych teatrów studenckich (jakieś modne te znaki ostatnio). Lecz często granice między cytatem a pastiszem były zatarte, tak że w końcu nie wiadomo było, co jest grane.

Próbą odmalowania twarzy młodego człowieka zajął się również **Teatr Studentów Uniwersytetu Wrocławskiego „Nawias"** i lepiej mu się to udało niż „Kalamburowi". Szczerzej. Gdy mówili o własnym zagubieniu to z nutą żalu, gdy o ich zagubianiu — to z ironią. Gdy o tych od siebie starszych — to z sarkazmem. Gdyby tak jeszcze rozjaśnić pewne niejasności i poskracać to, co przegadane, może byłby dobry spektakl.

KOŁO CZY TRYPTYK?

„Teatr 77" z Łodzi. To z pewnością interesujące zjawisko. Grupa ludzi, która nie stara się szokować i kokietować teatralnością (w złym tego słowa znaczeniu), bo chyba to, co robią w zamiarze teatrem ma też nie być. Przeciwnicy boją się tej grupy jak czarownicy na miotle, zwolennicy — Mesjasza w nich upatrują i kajać się przed nimi są gotowi. Zaszokowali swoją nową wypowiedzią pt. **„Retrospektywa"** w reżyserii i inscenizacji Ryszarda Bigosińskiego i Zdzisława Hejduka. Wypowiedzią pełną dziwnych, często złych, fałszywych elementów. Ale takie oceny mają sens wówczas, gdy patrzymy na ich „spektakl" z punktu widzenia tego, co się ogólnie teatrem zowie. Skoro oni teatrem być przestają (nie należy tego traktować jako cechę ujemną), to wszystkie oceny tracą punkt odniesienia i równie dobrze świadczą o sprzecznych wartościach.

Próbę wciągnięcia widzów do współtworzenia spektaklu uważam za jedno z ciekawszych pragnień współczesnego teatru a, w uzyskaniu wspólnoty serc, ducha i intelektu — wszystkich uczestników spotkania konkretnego wieczoru

Dalszy ciąg na str. 7

LISTY DO REDAKCJI

„POWAŻNY BŁĄD"

W numerze 47 z 22. XI. 1973 r. ukazał się list dr Jacka Ojrzyńskiego pt. „Poważny błąd". Chodzi tu o napisaną przeze mnie popularną broszurkę pt. „Kultura i Oświata w Łodzi w okresie międzywojennym" wydaną w popularnej serii „Biblioteczka Wiedzy o Łodzi (Łódź 1973 r.).

Zanim odpowiem dr Ojrzyńskiemu na jego zarzuty, muszę się wytłumaczyć z użycia nazwy „Galeria Sztuki" zamiast Muzeum Sztuki, w stosunku do naszej tak znanej i cenionej instytucji. Nastąpiło tu skojarzenie z obiegowym określeniem tak często używanym w potocznej mowie przez bywalców i entuzjastów tej niezwykle interesującej placówki, kierowanej i prowadzonej przez dyrektora Ryszarda Stanisławskiego.

Przejdę teraz do merytorycznych i formalnych zarzutów dr Jacka Ojrzyńskiego, dotyczących niewielkiego fragmentu mojej książeczki. Zacznę od sprawy drastycznej, to jest błędów drukarskich. Nie neguję tu mojej odpowiedzialności, ale jest to odpowiedzialność częściowa. Otrzymałam tylko jeden egzemplarz korekty, w którym na ogół błędów było niewiele, ale dalsze losy szpalt są mi nieznane. Zadziałał tu chochlik drukarski nader złośliwie. Na str. 36 przy wzmiance o teatrze i twórczości Wandurskiego wydrukowano „niemiecki ekspansjonizm" (!!!) zamiast ekspresjonizm. Na szczęście odesłałam czytelnika do świetnej i bardzo jasno napisanej monografii Heleny Karwackiej pt. „Witold Wandurski" (Łódź 1968 r.). Z tej pracy dowie się czytelnik o wszystkim co dotyczy twórczości i życia wybitnego poety i dramaturga. Błędów drukarskich jest więcej!

A teraz w sprawie Galerii Sztuki w parku im. Sienkiewicza. Przyznaję tu słuszność dr Ojrzyńskiemu w zakresie chronologii i jej związków z Instytutem Propagandy Sztuki. Nie godzę się na stanowisko wobec dyrektora Miensu-Dąbrowy w tamtym okresie. Dyskusyjna jest niewątpliwie jego osobowość, ale działalność jego placówki była wtedy w dziedzinie kształcenia estetycznego bardzo pozyteczna. Zwłaszcza młodzież lubiła tę instytucję i licznie ją odwiedzała.

W sprawie Muzeum Sztuki, czyli w brzmieniu oficjalnym Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki im. Bartoszewiczów. Nigdzie nie napisałam expressis verbis, że dr Minich przyjął z rąk ofiarodawców depozyt obrazów awangardy malarskiej. Mogło powstać nieporozumienie z zakończenia zdania, gdyż na str. 30 napisałam: „Darzucila ten dar Warszawa, przyjął go dyrektor łódzkich zbiorów" po czym zacytowałam fragment „Szalonej Galerii" Mariana Minicha. Odesłałam ewentualnego czytelnika do tej przystępnej, jasno i barwnie napisanej książki. Nie wspomniałam bibliografii naukowej w popularnej broszurce. Z książki Minicha może dowiedzieć się przeciętny czytelnik całej historii rozwoju naszego Muzeum w latach trzydziestych. Nie wspomniałam o akcie prawnym z roku 1931. To może jasniej wytłumaczyłoby sprawy chronologii. Nie akty prawne decydują o rozwoju instytucji i wymienianie go w popularnej broszurce uważałam za zbędne. Uparcie twierdzę, że niezależnie od aktów prawnych stworzył Marian Minich w latach trzydziestych podwaliny sztuki nowoczesnej w galerii muzeum. Strzegł tej kolekcji przed atakami przeciwników i wrogów przed wojną. Chronił ją troskliwie po wojnie, gdy w latach źle zrozumianego socrealizmu musiał te cenne zbiory przenieść do „podziemia" tj. do magazynów muzealnych. Tam przetrwały w „konspiracji" i prawdopodobnie dzięki temu możemy je oglądać i dzisiaj wśród nowych, cennych eksponatów w galerii naszego Muzeum Sztuki.

Zarzuca mi dr Ojrzyński, że przez „nieszczęśliwą stylizację" wyeksponowałam nadmiernie znanego miniaturzystę Artura Szyka na niekorzyść działalności Władysława Strzemińskiego. Nie przytaczam całego tekstu ze strony 27, a tylko fragment: „Malarze tej miary co Władysław Strzemiński i jego artystyczny antagonista Karol Hiller reprezentują wysoką rangę malarstwa polskiego. Przez dłuższy czas przebywał urodzony i wychowany w Łodzi światowej sławy artysta, Artur Szyk. Ale przede wszystkim należy podkreślić grupę A. R. („Artyści Rewolucyjni) wyłonieni z grupy Praesens". Dalej piszę o czasopiśmie „Forma" i całej tej grupie. Nie dostrzegam tu wyeksponowania roli Artura Szyka. Wspominam o nim w jednym zdaniu! Tutaj mogę dodać, że ten wybitny malarz wykonał interesującą dekorację sali Filharmonii Łódzkiej. Jak pisze Janusz Dunin (Odgłosy 1964 r. Nr 47, str. 7) nigdy nie zerwał przebywając za granicą z kulturą polską. Od siebie dodam, że między innymi zrobił obwolutę do zbiorowej pracy o Mikołaju Koperniku (Stephen R. Mizwa Nicolas Copernicus — The Kościuszko Foundation 1945 Tribute of Nations). Na obwolucie tej widnieje pomnik Kopernika w Warszawie.

Jak dr Ojrzyński przyjmie moje wyjaśnienia, to już dla mnie sprawa nieistotna. Trudno mi dyskutować z przeciwnikiem, który zwróciwszy uwagę tylko na malutki fragment broszurki (mniej więcej 1/30 całości) wyciąga wnioski w stosunku do całej jej treści. Przyznam się, że nie mogę pojąć metody uproszczonych uogólnień i wyciągania zdań z kontekstu, jak to zrobił w wypadku Artura Szyka i grupy A. R. Pisząc o tym mam przede wszystkim na myśli ostry zarzut postawiony Wydawnictwu (Uniwersytet Łódzki i Komitet Frontu Jedności Narodu), które dr Ojrzyński obarcza odpowiedzialnością za upowszechnianie „fałszywych wiadomości". To chyba i niesłuszne i niesprawiedliwe!

WANDA LIPIEC

Fot.: A. Wach

DRUGIE NIEBO SAMARKANDY

Dalszy ciąg ze str. 1

— Ile płacę? — zapytałem szofera, który podwiózł mnie do medresy Uług-Beka.

— Wszystkiego najlepszego — powiedział.

— Ale jestem panu winien pieniądze...

— Zapłaci mi pan innym razem.

Przytrafiło mi się kilka podobnych scen. Mało który kierowca zdecydował się przyjąć pieniądze. Pewien przystojny Uzbek przez godzinę obwoził mnie po mniej znanych dzielnicach Samarkandy, dzięki czemu — służył mi w dodatku za przewodnika — mogłem zobaczyć dwa stare muzułmańskie cmentarze, pochodzące z XIV wieku, Mauzoleum Ruhabad i Mauzoleum Iszrat-Chana oraz niewielki, ale wspaniałej urody meczet, którego nazwa zatarła mi się w moich notatkach.

Kiedy znaleźliśmy się wreszcie przed hotelem „Registan", o płaceniu nie mogło być nawet mowy. Wymieniliśmy adresy, podaliśmy sobie ręce.

— Jestem twoim dłużnikiem — powiedziałem.

— W porządku — skinął poważnie głową. — Jak ja przyjadę do Polski, ty będziesz bawił się w przewodnika i obwoził mnie po mieście.

Samarkanda liczy sobie ponad 2500 lat i, podobnie jak Buchara, jest jednym z najstarszych miast świata. Prowadzone na szeroką skalę prace wykopaliskowe pozwoliły uczonym zrekonstruować historię pierwszych wieków Samarkandy: wyłoniły się z pyłu zapomnienia szczątki prastarych budowli, a wśród nich narzędzia rzemieślnicze, przedmioty codziennego użytku, dzieła sztuki i zbroje świadczące o wysokim poziomie kultury w ówczesnej Azji Centralnej. Największy jednak rozkwit przeżywa Samarkanda w wiekach średnich. Przez siedemset lat cały świat podziwiał pomniki architektury wzniesione przez Timura i jego sukcesorów. Majestatyczne ruiny meczetu Bibi-Chanym wznoszą się nad Samarkandą na podobieństwo żółtej skały; przed kilkoma wiekami budowla ta uległa trzęsieniu ziemi, tak, że teraz możemy się tylko domyślać poprzedniej wspaniałości meczetu, który był niegdyś największą świątynią w świecie Islamu. Legenda głosi, że został on zbudowany na rozkaz Bibi-Chanym, ukochanej żony Timura, kobiety — według legend — przepięknej, a według faktów historycznych — starej i brzydkiej.

Najwspanialszym chyba zabytkiem Samarkandy jest kompleks mauzoleów Szachi-Zinda. Trzydzieści sześć stromych stopni prowadzą mnie w dół wieków, pośród wspaniałych murów i cienistych krużganków. Część kopuł pokryta jest płytkami wielobarwnej glazury, inne utrzymane są w jednolitym kolorze. Siedemnaście budowli — medres, grobowców i meczetów — składa się na ten niepowtarzalny, połączony ścianami i stanowiący jedną wielką „ulicę" kompleks architektoniczny, którego początek stanowi mauzoleum Kazy-Zade-Rumi, wielkiego, żyjącego w czternastym wieku astronoma i filozofa, natomiast koniec — grobowiec Kussan Ibn Abbas, który był kuzynem proroka Mahometa. Mahometanie wierzą, że podczas swojego ostatniego ziemskiego spaceru (było to w trzynastym wieku), którego trasa zahaczała właśnie o to miejsce, Kussam Ibn Abbas doznał jasnowidzenia i miał szczęście przeprowadzić ze swoim znakomitym krewniakiem Mahometem długą przedśmiertną rozmowę.

Piękne stronice w historii Azji Centralnej zapisał Uług-Bek, wnuk Timura, dzierżący zresztą po nim berło władzy. Był to władca o wyraźnym skrzywieniu naukowym; od polityki i wojaczki znacznie bardziej interesowała go matematyka, poezja, filozofia i astronomia. Zostało po nim wiele ważkich dzieł i unikalne jak na owe czasy obserwatorium astronomiczne, budzące do dziś sensację wśród przyjeżdżających do Samarkandy uczonych. Jego rządy i badania naukowe miały ongiś tylu zwolenników, co wrogów. Mahometanie zarzucali mu rewizjonizm religijny. Podczas samotnej przechadzki został skrytobójczo zamordowany.

Artyści i architekci Samarkandy upodobali sobie kolor błękitny: on dominuje w pylonach portali, minaretach i potężnych kopułach meczetów. Ale dzisiejsza Samarkanda, to już nie tylko zabytki — to przede wszystkim prężny ośrodek przemysłu, kultury i nauki. Jest tu Uniwersytet, pięć wyższych szkół i trzydzieści tysięcy studentów, jest opera, muzeum, kilka kin, teatrów i trzy stadiony sportowe. Jest wiele nowych dzielnic, wśród których życie toczy się w ostrym tempie, a kolor błękitny jest tylko częścią codzienności. Samarkanda rozwija się ekspansywnie. Tuż po rewolucji liczyła zaledwie 50 tysięcy mieszkańców. W 1939 roku było ich już 130 tysięcy. Dzisiejsza Samarkanda, to miasto, w którym żyje 267 tysięcy radzieckich obywateli.

*

Kilkakrotnie posłużyłem się w Samarkandzie legitymacją prasową. Pozwoliło mi to swobodnie poruszać się na terenie muzeów, galerii i obiektów sportowych oraz męczyć ludzi natarczywymi pytaniami. Dziennikarz z bratniej Polski? W porządku, proszę wejść; chętnie udzielimy wam informacji.

Dziewiętnastego października, kiedy to bawił w Samarkandzie pewien zagraniczny dostojnik i około południa niektóre zabytkowe obiekty były w związku z tym czasowo zamknięte dla ogółu, podszedłem z legitymacją do pilnującego porządku milicjanta.

— Tam stoi oficer. Proszę zwrócić się do niego — powiedział i wskazał mi postawnego mężczyznę.

— O co chodzi? — zapytał oficer.

Zacząłem się „wyszczególniać", tłumaczyć, że chciałbym zobaczyć grób Tamerlana (staliśmy właśnie przed budowlą Gur-Amir (1404 r.), gdzie spoczywają kości rodziny Timura), że jutro wyjeżdżam i jest to dla mnie ostatnia okazja.

Ofic · wziął moją legitymację i zaczął czytać: **„Prośba ko wsiem organam wlasti okazywat wsiewozmożnuju pomoszcz predjawitielju nastojaszczewo udostawierenia w uspiesznom wypołnienii jewo żurnalistskoj diejatielnosti".**

Skoro tak pisze, to rzeczywiście trzeba mu pomóc. Ale z drugiej strony należy szanować rozporządzenie zwierzchników. Dylemat. Ile przy tym szczerego zatroskania i życzliwości.

— Proszę iść tam — wskazał ręką na bazar. — Zobaczycie to i owo, a za godzinę wróćcie, będziemy mogli was przepuścić.

Zrobiłem jak radził. I nie straciłem. Na bazarze szaleli akurat zagraniczni dziennikarze — kamerzyści filmowi i telewizyjni krążyli z obłędem w oczach pośród straganów i uwieczniali każdą interesującą twarz (czyli wszystko, bo brak tam nieinteresujących rzeczy i twarzy), radiowcy podstawiali mikrofony sprzedawcom granatów i kawonów, a ci, szczerząc w słońcu zęby, sławili swój kraj i swoją pracę. Kiedy napatrzyłem się temu do syta, wróciłem do bram Gur-Amir i doznałem przyjemnego zaskoczenia. Ulice były już odblo' owane, orszak zagranicznego dostojnika potoczył się do śródmieścia, ale oficer w dalszym ciągu stał na swoim miejscu.

— Czekam na was — powiedział.

Poczułem się zażenowany. Zacząłem bąkać coś pod nosem, a on, kiwając głową, prowadził mnie do wejścia. Potem zasalutował, odszedł i cała sprawa zakończyła się tak, że żaden z nas nie naruszył prawa: on wywiązał się pięknie z obowiązków gospodarza, ja zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć, i zachowałem go w pamięci jako wzorowego funkcjonariusza — dżentelmena.

Zdarzało się, że moimi przewodnikami po Taszkiencie, Bucharze i Samarkandzie bywali ludzie, którzy mieli kiedyś kontakt z Polską lub Polakami. Zapytałem kiedyś przypadkowego przechodnia o drogę do Muzeum Etnograficznego w Samarkandzie. Podjął się towarzyszyć mi w tej eskapadzie.

— Wy od kuda?

— Z Polski.

— A, z Polski... Podczas wojny przyjaźniłem się z Polakami. To było w niemieckim lagrze w czterdziestym pierwszym roku.

— Zapamiętał pan może jakieś nazwiska?

— Oczywiście. Naszym przywódcą duchowym był polski lekarz z Warszawy, doktor Nowicki. O wszystko się troszczył; organizował pomoc dla chorych, kolportował wiadomości z frontu, ochraniał nas przed śmiercią. Szykowałem się wtedy do ucieczki, której trasa miała przebiegać przez wasz kraj i Nowicki wyposażył mnie w takie pismo: **„Zaświadczam, że Fiodor Lis jest dobrym i inteligentnym chłopakiem. Każdy Polak powinien udzielić mu pomocy".** Przechowuję tę karteczkę do dzisiaj, jak by pan chciał wpaść do mnie na herbatę, to bym panu pokazał.

Z żalem musiałem odmówić. Czas topniał i świadomość ta kazała mi krążyć po Samarkandzie bez przerw na posiłki, odpoczynki i wizyty w gościnnych domach. Był to bez wątpienia błąd. Nie ma reportaży bez ludzi. Rozmowy z nimi są trzonem każdej relacji, natomiast samo miasto, choćby najbardziej egzotyczne i piękne, stanowi tylko zdobne tło... Tym niemniej rozgrzeszam się z tych błędów. Chciałem nasiąknąć Samarkandą, utrwalić w pamięci jej dostojny obraz, wiedząc, że za jakiś czas będzie to dla mnie najpiękniejszym wspomnieniem. Chciałem patrzeć na rozgrzane słońcem mury, pendżary, przez które pada światło na mroczne dziedzińce i kopuły, o których mówią poeci Centralnej Azji, że są równie błękitne jak niebo: Samarkanda ma dwa nieba; gdyby zgasło to nad chmurami, pozostałoby jeszcze to, które stoi od wieków nad miastem w kopułach medres, grobowców i meczetów.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

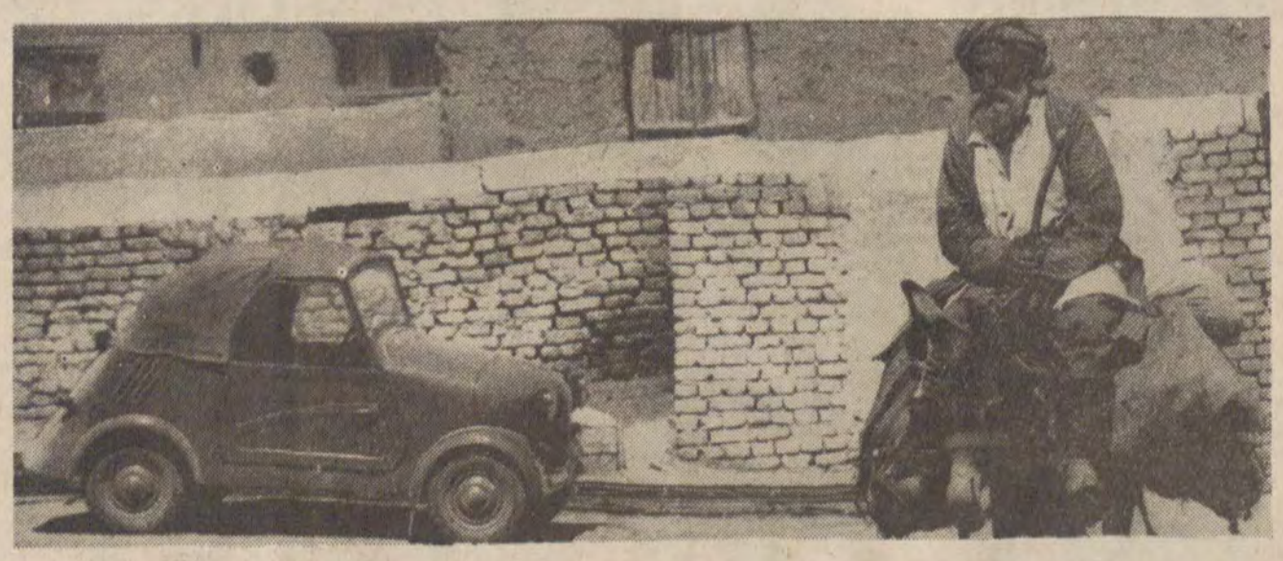

Fot.: A. Wach

PUSTA ZIEMIA

Dalszy ciąg ze str. 4

— Z Kielc. Musiałbym ją tu ściągnąć, bo tam pracy nie dostanę. A razem z rodziną nie bardzo mi się widzi gnieździć, więc ta działka pod zabudowę ma duże znaczenie także dla mnie.

Jan Nowak wyprowadził mnie na podwórko. Pokazuje stosy cegieł, pustaków.

— Byłby z tego dom — mówi — i boli mnie, że tutaj muszę gromadzić ten materiał. Popatrz pan, co jest w stodółce. Belki, są, deski na cały dach też, nie?

— Trzeba było zgromadzić budulec na działce.

— Tak, żeby mi rozkradli!... No, ale z tym koniec, możemy teraz skoczyć do Eugeniusza, bo przecież ta jego sprawa najważniejsza. Zobaczy pan, jak on mieszka.

Pojechaliśmy. Stoi stara, rozsypująca się chałupa. Sionka ciemna, mała kuchenka, trochę większy pokój. Buzuje się w dużej szamotówce, ale już przy wejściu bije w twarz stęchlizna. Małżonka Eugeniusza Nowaka oprowadza mnie po mieszkaniu.

— Widzi pan, jak jest — mówi — trudno wytrzymać. Jak przyjdą mrozy, to przenosimy wersalkę do kuchenki, żeby nie skostnieć. Mały ciągle mi choruje.

Trzyletni Jacek chodzi po izbie w szaliku i kaszle. Rozglądam się po tej ruderze i spostrzegam, że spróchniała, cała w zaciekach powała może się kiedyś zawalić. Patrzę na dziury w podłodze.

— Pod podłogą grasują myszy — wyjaśnia młoda Nowakowa.

— Wygód, oczywiście, żadnych nie posiadacie?

— Wychodek za stodołą. A tak żadnego schowka, ani szopki na opał.

— A ile płacicie komornego?

— T r z y s t a złotych miesięcznie!

— A Gienek ma 50 tysięcy — wtrąca Jan Nowak — i mógłby się budować.

Pewnie, że mógłby, myślę, zwłaszcza, że to małżeństwo młode, rozwojowe, jak to się mówi.

— To chodźmy obejrzeć teraz nasze pole — mówi Nowak.

Jedziemy do Janiszewic. Pole leży za torami. Nowak wyjaśnia:

— Nie powiem, żebym dobrze uprawiał tę ziemię. Zresztą nikt z naszej rodziny nie ma żyłki do rolnictwa. Ale tu nie opłaca się siać ani sadzić. Kury sąsiadów wszystko rozdrapią, dzieciaki rozdepczą, bo grają w piłkę. Gdyby gospodarz był na miejscu, to co innego. Lecz budować mi się nie wolno. Więc pytam pana, dlaczego. Proszę tylko popatrzeć, co się tutaj dzieje.

Patrzę i widzę, że od zachodniej strony pola stoi szereg domów, cała ulica. Od północy i południa, na granicy pola Nowaka czerwienią się mury nowych domów.

— Te dwa nowe domy — wyjaśnia Nowak — postawiono tego roku (1973). Dlaczego ci ludzie dostali działki i prawo do zabudowy? Czemu mnie nie zezwala się budować na własnym gruncie?

A więc o to idzie Nowakowi i dlatego uparcie szuka sprawiedliwości. Przyznaję, że ja też tego nie rozumiem i nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego między nowymi, zbudowanymi niedawno domami leży bezpańsko i marnuje hektar ziemi, której cena liczy się przecież coraz bardziej...

RYSZARD BINKOWSKI

TEATR RYGORU

(REFLEKSJE Z WROCŁAWSKIEGO FESTIWALU)

KONRAD FREJDLICH

HENRYK GIŻYCKI — „Nakaz aresztowania"

Chociaż określenie „monodram" wiąże się najczęściej z nazwiskiem Jana Jakuba Rousseau, a ściślej z jego „Pigmalionem", pierwowzorów tego typu dramatu trzeba chyba szukać w przedajschylesowym teatrze greckim, zwłaszcza zaś w działalności rapsodów. Mimo tego wielowiekowego rodowodu monodram znalazł prawo obywatelstwa w kulturze polskiej dopiero w epoce romantyzmu dzięki mickiewiczowskiej Improwizacji.

Ale o pełnym renesansie tej formy teatru możemy mówić dopiero w latach ostatnich, z chwilą powołania tak młodej, a tak jednocześnie szacownej i zasłużonej instytucji jaką stały się Ogólnopolskie **Festiwale Teatru Jednego Aktora** we wrocławskiej „Piwnicy Świdnickiej". Przez osiem lat swego istnienia festiwale te potrafiły przyciągnąć tej klasy wykonawców, co **Danuta Michałowska, ofia Rysiówna, Lidia Zamkow, Andrzej Łapicki, Wojciech Siemion, Ryszard Filipski.** A przecież twórczy ferment wywołany przez profesjonalistów stał się jednocześnie animatorem szerszego ruchu artystycznego, któremu na imię **Ogólnopolskie Spotkania Amatorskich Teatrów Jednego Aktora** organizowane corocznie w Zgorzelcu. I chociaż festiwal wrocławski ukazuje dokonania profesjonalistów jest jednocześnie terenem konfrontacji z tym, co aktualnie dzieje się w teatrze amatorskim jednego aktora dzięki pozakonkursowym spektaklom towarzyszącym.

Tegoroczny festiwal wrocławski był prawdziwym, trwającym tydzień z okładem maratonem. Słyszało się wprawdzie głosy, że w porównaniu z pierwszymi latami zainteresowanie monodramem nieco już osłabło, ale głosom sceptyków przeczyła rekordowa ilość spektakli, zarówno tych profesjonalnych, zgłoszonych do konkursu, jak też towarzyszących, które trafiły do Wrocławia via Zgorzelec albo też dzięki zaproszeniu Komitetu Organizacyjnego, który stara się utrzymywać kontakty z laureatami festiwali poprzednich. Dzięki temu publiczność wrocławska mogła obejrzeć ponownie **Elżbietę Fediuk**, która wystąpiła w monodramie „Mięso modlitwy" opartym na kanwie wierszy zmarłego tragicznie poety **Rafała Wojaczka**, mogła także zobaczyć **Irenę Jun** („Czarownica musi przyjść" wg tekstów **Juliana Tuwima, W. Poiockiego** i innych), mogła wreszcie spotkać się z **Haliną Słojewską**, która zaprezentowała spektakl **„Plączą się czasy, miejsca, nagrody, klęski"** oparty o „Według natury" **Marii Kuncewiczowej.** Wielce znamienny dowód uznania dla inicjatywy „Piwnicy Świdnickiej" złożyła przewodnicząca jury, **Halina Mikołajska** występując poza konkursem z monodramem „Po długim czekaniu" opartym o mannowskiego „Józefa i jego braci", bo chociaż festiwal odbywał się w atmosferze ostrej rywalizacji, nie brakowało na nim również gestów bezinteresownych, służących popularyzacji idei teatrów jednego aktora.

Tym, co uderza dziennikarza, który przyjeżdża do Wrocławia na dwa ostatnie dni festiwalu, to atmosfera żywego zainteresowania towarzysząca wszystkim bez wyjątku spektaklom. Miejscowa publiczność wie, że nie spotka tu tandety, że komisja selekcyjna dokonała olbrzymiej pracy dopuszczając do festiwalu pozycje rzeczywiście najwartościowsze, a przy tym monodram jest tym rodzajem teatru, który wymaga współpracy wyobraźni widza, a nie rzadko jego aktywnego współuczestnictwa. A chociaż jest sztuką rygoru w najskrajniejszej postaci, jego formuła jest bardzo pojemna.

Jest więc, co zrozumiałe, szansą dla aktora, który w monodramie może sprawdzić się najpełniej. Teatr zredukowany do jednej tylko działającej postaci wymaga nie tylko warsztatowego mistrzostwa, ale, co może się wydać zaprzeczeniem tamtego, osobistego zaangażowania. Głos sceniczny jest tu bowiem jednocześnie głosem własnym.

Ale teatr jednego aktora jest jednocześnie ogromną szansą dla literatury współczesnej, może i potrafi wyrażać jej niepokoje, dodając swoje własne. Wśród konkursowych spektakli nie było ani jednego opracowania tekstu powstałego poza naszym stuleciem. I w tym sensie jest on jednocześnie szansą dla widza, który szuka w teatrze przede wszystkim potwierdzenia swoich własnych spraw: jest tu miejsce i na dramaty sumienia, i na wątpiącą wyobraźnię, i na afirmację świata. Jest miejsce na refleksję filozoficzną i na ostrą społecznie publicystykę. Nie ma tu tylko miejsca na obojętność.

Wśród spektakli, które przemówiły do mnie najsilniej, wyróżniłbym przede wszystkim dwa: **Barbary Walkówny** „Tydzień jak tydzień" oraz **Henryka Giżyckiego** „Nakaz aresztowania". Walkówna, znana aktorka Teatru Nowego w Łodzi, przedstawiła w oparciu o tekst radzieckiej pisarki polskiego pochodzenia **Natalii Barańskiej** spektakl o charakterze publicystycznym sygnalizując, ostrą, także w naszych czasach, kwestię kobiecą. Pionierzy swobody niewieściej, którzy z zapałem walczyli o dostęp kobiety do wszystkich zdobyczy cywilizacji współczesnej, nie przypuszczali nawet, że wtrącą słabą płeć w nową zależność i że tym samym efekt tych zdobyczy okaże się dość wątpliwy. Z okazji Dnia Kobiet prasa, obok konwencjonalnych życzeń, przynosi corocznie porcję solidnych rozważań na temat budżetu czasu naszych żon i matek, ale to, co w gazecie jest suchą statystyką, było na scenie „Piwnicy Świdnickiej" żywym, przejmującym portretem pracującej kobiety. Oszczędna w geście, precyzyjna w artykulacji stworzyła Walkówna wybitną kreację aktorską i jeśli spektakl jej nie został nagrodzony przez jury, to przede wszystkim dlatego, że preferuje się tu manierę ekshibicjonistyczną, bebechowatość, jakby się wyraził Witkacy, zbyt mechanicznie utożsamiając ją ze szczerością wypowiedzi. Ale o niebezpieczeństwach, jakie grożą teatrowi jednego aktora, powiem nieco później.

Spektakl **Giżyckiego**, aktora krakowskiego teatru „eref 66", którym kieruje **Ryszard Filipski**, cechowała wysoka temperatura ideowa, gdyż tekst **Zbigniewa Jaronia** zawiera akcenty par excellence polityczne. Giżycki w roli prokuratora zastraszonego przez wpływowych kacyków rysuje narastanie dramatu sumienia spokojnie i sugestywnie, punktując jednak wszelkie aluzje. W ten sposób drobna, choć odrażająca sprawa, w której prowadzi dochodzenie nabiera nieoczekiwanie nowych, szerszych wymiarów i kiedy jako prokurator, wydaje nakaz aresztowania, wiemy doskonale, że stawia w stan oskarżenia nie tylko złodziejską klikę, ale wypaczenia systemu, które ją zrodziły. Żałować należy, że ten żarliwy spektakl pokazany został poza konkursem, choć jednocześnie można przypuszczać, że najprawdopodobniej nie znalazłby się na liście monodramów nagrodzonych.

Bo Wrocław, choć tak rozmiłowany w teatrze, ma swoje mody, łatwo poddaje się minoderii. Mówiono tu wciąż, pod wrażeniem IV Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Otwartego, który odbył się miesiąc wcześniej, o japońskim teatrze Tenje Sajiki (patrz: artykuł Anny Kuligowskiej „Bez obojętności" nr 49 „Odgłosów"). Może właśnie pod wpływem opowieści o tym, jaką rolę u Japończyków odgrywa ciemność w co drugim, bez przesady, monodramie, palono na scenie świeczkę lub dwie, aby zbliżyć się choć odrobinę do sytuacji, o której tak gorąco rozmawiali w kuluarach szczęśliwcy, co widzieli Japończyków na własne oczy.

Tak się złożyło, że spośród spektakli wyróżnionych „zaliczyłem" tylko jeden: „Kirelejson" **Jana Wojciecha Krzyszczaka**, aktora z Lublina, który zaprezentował fragmenty głośnej powieści **Edwarda Redlińskiego** „Konopielka". Pomysłowa scenografia pozwoliła Krzyszczakowi spiąć w dramaturgiczną klamrę luźno ze sobą związane fragmenty tekstu, ale przekonywającej postaci chłopa nie udało mu się zbudować, było w niej bowiem coś z estradowego fałszu.

Sięgano zresztą często po teksty programowo „antyteatralne", jak to uczynił inny aktor lubelski **Sylwester Woroniecki**, w ambitnie pomyślanym i zrealizowanym, choć w sumie jednak pustym monodramie „Nazo poeta — metamorfozy" opartym o tekst **Jacka Bocheńskiego.** Mimo ogromnej ilości zastosowanych środków wyrazu, niemal wszystkiego, co udźwignąć może teatr jednego aktora, pozostały one tylko chwytami. A tekst Bocheńskiego niósł w sobie mimo antyteatralności sporo propozycji czysto teatralnych, jak choćby ostro zarysowany konflikt pomiędzy zakresem odpowiedzialności artysty i odpowiedzialności władcy, poety i polityka. Realizacja Woronieckiego raczej ten konflikt zamazała niż uwypukliła. Ale udowodniła jednocześnie, że, jak wspomniałem na początku, monodram stanowi propozycję jeśli nie teatru otwartego, to w każdym razie, szalenie pojemnego. Jury oparło się naciskom wyróżniając faworyzowanego w prasowych biuletynach do niedawna jeszcze kaliskiego, obecnie zaś poznańskiego aktora **Wiesława Komasę** skromniejszym miejscem, **II nagrodą** nagradzając spektakl **Mirosława Gruszczyńskiego** ze Szczecina zatytułowany „Dlaczego" wg „Listu otwartego do zmarłej dziewczyny" **Gilberta Cesbrona.**

„Młodzieńczy żywioł i werwa.
Po Komasie — przerwa?"

donosił „Notatnik Festiwalowy" nr 6, dodając w innym miejscu „Dobrej passy W. Komasy / Nawet bocian nie odstraszy", w czym zawierała się aluzja do poetki wrocławskiej **Marianny Bocian**, której tekst pt. „Odejście Kaina" spożytkował poznański aktor. Nie mam ambicji pisania sprawozdania z „Piwnicy Świdnickiej" i jeśli przytaczam tutaj strzęp decyzji jury, to właśnie po to, aby ukazać niebezpieczeństwa jakie grożą festiwalowi. Komasa był modny. Folder zawierający sylwetki uczestników, wydrukowany p r z e d rozpoczęciem konkursu piórem red. **Tadeusza Burzyńskiego** stwierdzał wprost:

„Mogłoby się wydawać, iż (...) niełatwo będzie o trwałe wpisy do złotej księgi festiwalu, co zresztą po części znalazło potwierdzenie na ostatnich konkursach w „Piwnicy", bo ich poziom trochę się obniżył. Można jednak przypuszczać, że jest to zjawisko przejściowe, ponieważ w teatrze jednego aktora pojawiła się „nowa fala", której reprezentatywnymi przedstawicielami są — w moim odczuciu — Wiesław Komasa i Bogusław Kiere;"

Wrocław odegrał pozytywną rolę nadając teatrom jednego aktora pewne formy instytucjonalne, zwracając uwagę na ich byt szerokiej opinii publicznej. Ale teatry monodramu żyją i działają poza festiwalami i konkursami, powstają z wewnętrznej pasji ludzi, którzy w tej sztuce rygoru i rezygnacji dostrzegli ogromną szansę dla teatru wyobraźni, dla teatru, który sam przychodzi do widza, dla teatru aktywnego. Jeśli ten teatr nie ulegnie wątpliwym modom, które mogą go tylko zmumifikować, pozostanie świeżym i żywym. I choćby dlatego, aby uprzytomnić sobie niebezpieczeństwo instytucjonalizacji, warto było pojechać do Wrocławia.

MASKOWANE OBLICZE

Dalszy ciąg ze str. 5

w teatralnej izbie, widzę wręcz kierunek odnowy, świeżą krew odradzającą teatr w jego najwspanialszej istocie. Rozdanie dzień przed spektaklem druków z wypowiedzią W. Gombrowicza ze sformułowanym pytaniem — „tezą sztuki" zapowiadało rzecz, ze wszech miar, przemyślaną i dopracowaną. W moim odczuciu tak się jednak nie stało. Artykuł autora „Transatlantyku" sam w sobie jest wspaniałym materiałem do rzetelnej kłótni. Czy trzeba go ilustrować obrazkami? Czy rzeczywiście „ciążą" na nas „widma" Rejtana, Tadeusza i Zosi, pieśni partyzanckich? Nie rozumiem funkcjonowania w całości owej drugiej części spektaklu, kiedy to, w sali na I piętrze, wpadałem na innych widzów, bo ciemno wszędzie i tylko przytłumione wzajemne przepraszanie słychać było. A gdy ktoś włączył telewizor, ktoś inny rzekł cicho i zapewne złośliwie, że może „Bolek i Lolek" będzie. Stosunkowo najmniej zastrzeżeń budzi część III-cia, będąca ostrym, mówionym wprost oskarżeniem tego polskiego tromtadractwa, fałszu i obłudy z naszej powojennej historii. Tylko, że to lepiej i pełniejszym głosem powiedziane było w spektaklu pt.: „Koło czy tryptyk".

Po przedstawieniu, miała nastąpić dyskusja. Być może w świetnym założeniu każdy następny spektakl będzie premierą, stwarzaniem od początku niewiadomego kształtu, czasem w końcowej fazie złego, bardzo złego lub bardzo dobrego. Ten, którego byłem świadkiem — w nocy z 7 na 8 grudnia wydał mi się pomyłką. Wyszedłem z dyskusji, ponieważ nie chciałem wpaść w nową „formę". Jednym z przejawów „kowulsyjnej historii" jest bezmyślne i wręcz banalne o niej gadanie, a więc nieposzanowanie czasu bliźniego swego. Ponadto konieczny jest przemyślany i sensowny kształt owej kości niezgody między nas rzuconej. Jeśli tylko budzi on głupie skojarzenia, jeśli razi ciemnością, śmieszy bezustannymi potknięciami, sam sobie stwarza sytuację labiryntu nużącego i zniechęcającego. Chyba, że chaos ma być prowokacją? I dlatego uważam, że długa droga jest jeszcze przed „Retrospektywą", by uzyskała ona zgodność założeń (które szczerze pochwalam) z realizacją (którą pochwalić nie mogę).

BEZ KAPŁAŃSTWA

Uradowały mnie dwa spektakle: są to **„Straż pożarna by nie zmogła jedna, druga, trzecia..." krakowskiego Teatru „Pleonazmus"** oraz **„Życie jawą"** wg Ernesta Brylla w reżyserii Andrzeja Rozhina, lubelskiego Teatru UMCS **„Gong 2"**. „Straż pożarna..." — to zespołowa kreacja na scenie en rond przy minimalizacji rekwizytów (tylko świece) i kostiumów (garnitury), przy maksymalizacji znaczących działań gry aktorów, uroczej zabawie ze słowem, na słowach, ich wieloznaczności, dowcipie większych konstrukcji wypowiedzi złożonych z niby ot, tak sobie obojętnych jednostek. To jednocześnie przedstawienie o rodzeniu się idei, kolejach losu jakim ulega od triumfalnego marszu po wszelkie odmiany jej dewartościowania, bełkotania ideą, osaczania nią. Zaskakiwały te sytuacje błahą słów i teatru zabawą, gdy z nich, jak diabełek z jarmarcznego pudełka, ostra prawda wyskakiwała. I, wreszcie, nie uzurpował sobie ten teatr praw do owego „kapłańskiego tonu" w jaki wpadały inne zespoły sądząc, że one i tylko one są w stanie oświecić nas i ukazać nam rzeczywistość.

Kiedyś stwierdzono, że teatr studencki j e s t teatrem współczesnym i zaangażowanym, co powszechnie uważa się jako „polityczność". I to „jest" wiele zespołów traktuje jako „musi być", ustanawiając regułę, zasadę twórczą. Powiedziano też, że teatr studencki jest ruchem ludzi niecierpliwych, odważnie podejmujących każde ryzyko, co usprawiedliwia często niepełny kształt artystyczny. Słuszne jest stwierdzenie faktu, niesłuszne usprawiedliwianie.

Nikt mnie jednak nie przekona, że pasja twórcza wyklucza dystans do tego co się robi (w trakcie tworzenia oczywiście). Uważam, że im większe zaangażowanie, tym większe poczucie odpowiedzialności i większa chęć mówienia wprost bez spekulowania, bo właśnie żarliwość temu przeczy. W innym wypadku nawet najmądrzejszą myśl można powiedzieć nieopatrznie śmiesznie, najprawdziwszą prawdę ukazać fałszywie, a krytykując np. niezgodność słów z czynami można samemu w taką niezgodność popaść.

Buszuje także w teatrze studenckim jeszcze jedna tendencja, teatrowi zgoła przeciwna — przesadna literackość. Często polega ona na budowaniu scen — metafor, eufemizmów, elips, żonglowaniu pojęciami, które, będąc ze swej natury uogólnieniem, oddalają nas od rzeczywistości a nie przybliżają. Kłóci się to organicznie z owym „kapłańskim tonem".

ŻYCIE I ABSOLUT

Oficjalnego otwarcia Spotkań dokonano przed spektaklem **Teatru STG z Gliwic**, który przedstawił **„Fabrykę Absolutu"** wg Karela Capka. I dobrze, że to złe i nudne przedstawienie (mimo celofanowej i fajerwerkowej oprawy) o dehumanizacji współczesnego życia, znalazło się na progu Spotkań. Stało się — zapewne wbrew totalnym zamiarom twórców — że wychodziliśmy z przedstawienia ze smutną refleksją. Najtragiczniejszym przejawem dehumanizacji jest bełkot humanistów.

Tym większą radość sprawiło mi zapoznanie się z **„Życiem jawą"** i **Gongiem 2"**. Precyzja reżyserii i scenografii oraz gry zespołu stopiła się tu z prostotą i mądrością sztuki Ernesta Brylla. Słowo było znów słowem, zdanie zdaniem a sytuacja teatralna sytuacją teatralną. Wszystko zaś wskazywało na to, że można mówić mniej a mądrzej, oszczędniej a bez zaciemnień i kamuflaży. I chyba przeciwieństwem tego złego motta, była ostatnia scena spektaklu, kiedy aktorzy rozcharakteryzowywali się, ścierali szminki, wracali do swych prawdziwych twarzy, śpiewając:

„Nie bać się usnąć. Nie bać się zbudzenia. Nie bać się jawy. Nie bać się zmęczenia. Nie bać się miłości. Szczerego zwierzenia. Nie bać przyjaźni. Nie być jak z kamienia. Nie bać się prawdy. Nie bać się sumienia..."

PIOTR SŁOWIKOWSKI

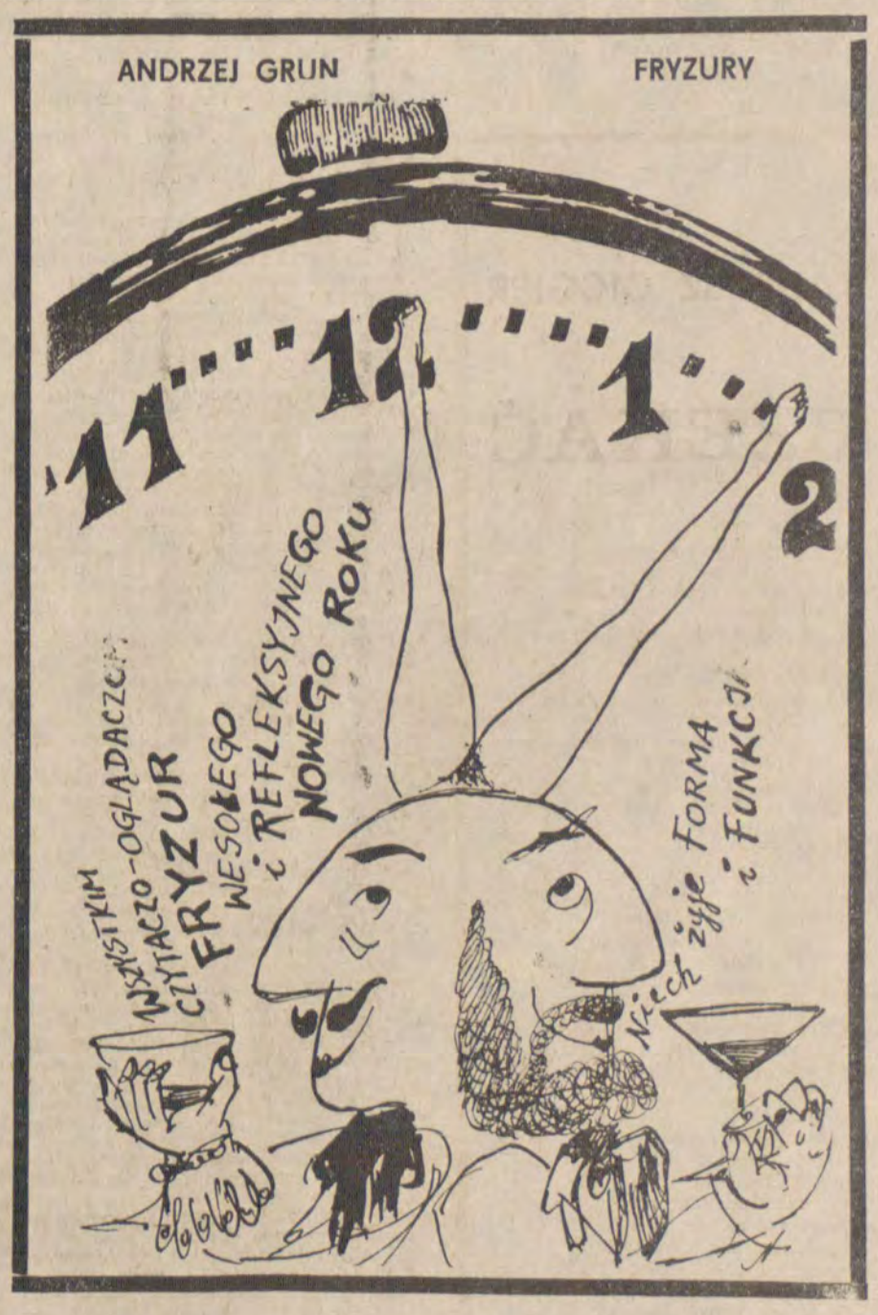

Zakochany iluzjonista

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Przybył do Polski słynny Pinetti, tytułujący się nadwornym czarnoksiężnikiem sułtana egipskiego. Zdobył rozgłos w Warszawie, a wkrótce w całym kraju. Długo tu przebywał i często przyjeżdżał, a jeden z kronikarzy twierdził, że kochał Polskę bardziej niż swoją ojczyznę, Italię. Pisali o nim Morawski, Placyd Jankowski, Groza, ale niewątpliwie dodowodem największego uznania dla sztukmistrza i iluzjonisty stało się to, że nazwisko jego zostało zanotowane w epopei narodowej. Zapamiętał je Mickiewicz i po latach opisując dziwy arsyserwisu zaraz wspomniał sobie słynnego dziwotwórcę. „Czy to Pinety panu dał w służbę swe bisy?"

Na występach dla szerokiej publiczki pokazywał sztuki magiczne z niezwykłą zręcznością, które też budziły ogromne zaciekawienie lub wesołość. Występował wtedy w szatach wschodniego maga, ozdobionych różnymi znakami kabalistycznymi. Towarzyszyło mu zwykle czterech pachołków z globusami na głowach, które to globusy w atrakcyjnych momentach przedstawienia poczynały płonąć żywym ogniem.

Jednak ciekawsze, trudniejsze sztuczki chował dla towarzystwa, gdzie go zapraszano na wieczory, na kolacje, nawet na oficjalne przyjęcia. Wtedy z magika zmieniał się czasem w iluzjonistę.

Większość niewykształconych ludzi uważała go za czarownika, ale i wykształceni ciekawi byli jego sztuk magicznych, które wtenczas były nowością. Poza tym Pinetti posiadał siłę narzucania zbiorowej sugestii, toteż te właśnie występy przyniosły mu największą sławę.

Pinetti zapowiedział swój przyjazd do Grodna, gdzie wówczas przebywał król Stanisław Poniatowski z dworem. W mieście ciekawość na sztukmistrza była ogromna. Gdy dano znać, że imć pan Pinetti się zbliża, wielu mieszkańców wybiegło mu na spotkanie. Nawet wiele osób ze dworu wyjechało naprzeciw, aby przyjrzeć się zapowiedzianemu wjazdowi iluzjonisty.

Ukazała się ozdobna kareta o sześciu oknach, pozłacana, a w karecie czarnoksiężnik Pinetti w złocistych szatach, w modnej peruce z harcapem. Na głowie miał czarny, trójgraniasty kapelusz z czerwonym pióropuszem. Przy ekwipażu szóstka koni, powożona forysiami. Na koźle siedziało dwóch Murzynów z trąbami przy ustach.

Ludzie cisnęli się, gawiedź tłoczyła się między kolasami, odprowadzając dziwotwórcę do miasta.

Nazajutrz przybył Pinetti na zamek, aby zaprezentować się królowi. Wydał się wszystkim układny i miły. Był wysoki, szczupły, o śniadej twarzy. Miał na sobie kolorowy frak, przy którym świeciły się guzy z drogich kamieni. Również rękojeść jego szpady była suto kameryzowana.

Król zaprosił go na obiad. Gdy podano zupę, Pinetti jej nie jadł. Król zapytał o powód, okazało się, że nie miał łyżki. Stropili się lokaje, przekonawszy się, że jeszcze przy kilku innych nakryciach brakuje łyżek. Pinetti spytał króla, czy pozwoli mu wstać i poszukać łyżek, a uzyskawszy pozwolenie, zbliżył się do skarbnika koronnego i znalazł w jego harbajtlu kilka łyżek, przy czym włosów ujętych w jedwabną siatkę wcale mu nie zburzył. Jednej łyżki jeszcze brakowało.

— Miłościwy panie, nic innego, tylko musi być w futerale od szpady waszej królewskiej mości.

Rzeczywiście tam ją król znalazł. Bawiono się wybornie.

Osobne przedstawienie odbyło się w sali, urządzonej specjalnie na ten cel w przędzalni. Scena zasłana była kobiercami i plantami południowych krzewów, pośród kolumn świeciły różnobarwne lampki, które odbijały się w ustawionych zwierciadłach. Z amfor unosiła się odurzająca woń.

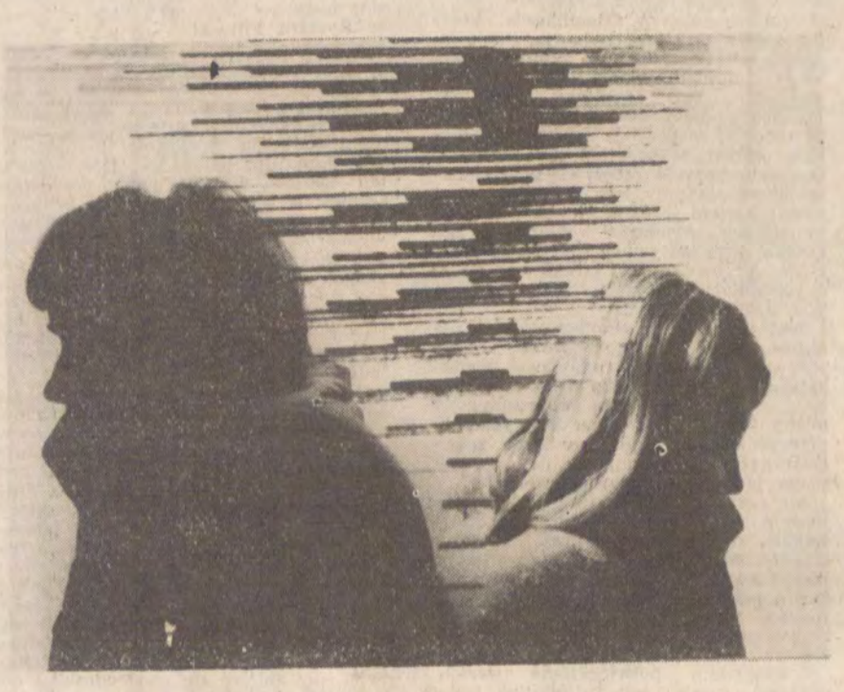

Fot. W. Paryż

Pinetti pokazywał zadziwiające sztuki. Wreszcie zbliżył się do loży królewskiej i poprosił króla o powierzenie mu kilku złotych. Król sięgnął do sakiewki i wręczył mu garść dukatów.

Pinetti włożył je do srebrnej miski, przykrył płachetką i zapytał jednego z widzów czy lubi ryby. Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, poprosił zapytanego, aby odkrył płachetkę. W misce trzepała się gruba ryba.

Pinetti wziął ją w rękę, rozpłatał i wysypał z niej dukaty.

Chciał je zwrócić królowi, ale ten powstrzymał go.

— Mości Pinetti, to na przyprawę złotodajnej ryby.

Niestety, nie z samych powodzeń składa się życie. Nad głową bajecznego Włocha zawisł bicz boży w postaci Aloyzego Korzeniowskiego. Ten uznawszy, że obcy magik zbyt wiele wyciąga pieniędzy z sakiewek nierozważnych rodaków, zawsze skłonnych do opłacania zagranicznych sztuczek, poczuł psuć mu reputację, rozgłaszać, że to są tylko bezecne sztuki magiczne i mistyfikacje.

Pinetti poznał, że powodzenie jego jest zachwiane. Na przedstawieniach nieraz było pustawo i coraz rzadziej hajduk wielmożów zjawiał się z zaproszeniem na urozmaicenie dworskiego przyjęcia. Magik był mocno rozdrażniony. Dowiedział się przy tym, że imć Korzeniowski jest to prawy człowiek, a nawet, jak mówiono, o gołębim sercu, tak więc nie zawiść powodowała nim, tylko rzeczywiste przekonanie. „Tym gorzej, tym gorzej" — rozmyślał Pinetti.

Pewnego wieczoru, kiedy mrok już zapadał w mieszkaniu pana Aloyzego Korzeniowskiego jakiś obcy człowiek wsunął się do komnaty.

— Jak honor pański i czym służyć sobie każesz? — zapytał zdziwiony gospodarz.

— Panie — rzekł przybysz nieśmiało — ja jestem człowiek zgubiony przez waćpana dobrodzieja.

— Przeze mnie? Alboż to możliwe?

— Jestem nieszczęsna ofiara nie zasłużonej nienawiści waćpana.

— Mojej? Ależ co ja słyszę? Przecież ja pierwszy raz w życiu widzę asana!

— A jednak do ostatniej nędzy doprowadzasz mnie, panie.

— Ja? — pan Aloyzy zerwał się z miejsca przejęty, zawstydzony. Tłumaczył się, że nigdy nikomu nie uczynił nic złego.

— A jednak ja, sierota w obcej stronie zagubiony, nie będę miał za co wrócić do ojczyzny, do żony mojej i dzieci, które z głodu będą musiały przymierać, gdy wrócę bez grosza. Sześcioro niewinnych dziatek...

— Ależ mów waćpan, kim jesteś i cóżem ja takiego uczynił? Pięcioro dzieci. Coś takiego!

— Sześcioro... Ja jestem ów napiętnowany przez pana Pinetti...

— A! — oprzytomniał pan Aloyzy. — Jeśli tak, mospanie, to rzecz inna. — Nadąsał się i znać było, że dopiero co wynikłe wzruszenie chce opanować. — Wasan wybrałeś sobie złe rzemiosło. Pozwól sobie waćpan powiedzieć to w oczy, co dotąd tylko poza oczy mówiłem. Durzysz ludzi i wyłudzasz od nich grosiwo. Udajesz, że posiadasz jakieś nadprzyrodzone siły, a to tylko zręczność i udanie. To się nie godzi, wasanie, nie godzi.

— Zacny panie, gdzieżem to powiedział, że posiadam nadprzyrodzone siły? Jeśli ciemni ludzie tak głoszą, nie moja wina. Znajomość nauk, zręczność i sugestia czynią te dziwy. A i pieniędzy od nikogo nie wyłudzam, sami dają i chętnie przybywają na każde przedstawienie.

Dalejże molestować i usprawiedliwiać się, że jedynie z przyrodzonego talentu korzysta i w taki sposób zarabia na życie. Pan Korzeniowski miękł aż całkiem uległ urokowi magika.

— No, jeśli tak, panie Pinetti, obiecuję ci, że już nigdy przeciw niemu nie będę występował.

— Ach, wtrąciłeś mnie do przepaści, a teraz odchodzisz, nie wyciągnąwszy nawet ręki. Na widowiska moje nikt już nie przychodzi, nie mam żadnych dochodów, nawet nie mam za co wrócić do swojego kraju, do żony, dzieci... Cóż ci niewinne dzieci zawiniły?

— A tom nawarzył piwa! — zmartwił się dobroduszny pan Aloyzy. — Biedne dzieci! Pięcioro, mówisz?

— Sześcioro.

— Cóż robić, powiadaj!

— Jeślibyś tylko zechciał, panie, możesz wyświadczyć mi wielką przysługę.

— Gadajże, a żywo!

— Otóż jestem zaproszony na jutro do hrabiego Tyszkiewicza. Waćpan tam bywasz, więc przyjdź na wieczór. Ja zapowiem, że mam cudowną skrzypkę, na której gdy tylko zagram, to każdy co nań wskażę, tańczyć musi. Otóż wybiorę jegomości, a gdy tylko zagram, udaj, że wytrzymać nie możesz, zerwij się z fotela i choć kilka razy nogą przytupnij.

Pan Aloyzy naburmuszył się: — Cóż to, na jakiegoś skoczka chcesz mnie wystrychnąć?

Pinetti posmutniał. — Niczego innego nie wymyślę. Znać już zginąć mi trzeba, a ze mną...

— Poczekaj! Nie wiem dlaczego nie mógłbym tupnąć? Wykonam kilka chów tanecznych, jak waść sobie życzysz.

— O, tak, tupnij, panie, tupnij, a ja biedny środki do życia odzyskam!

Nazajutrz u Tyszkiewiczów zebrał się tłum gości. Zapowiedziano pokaz Pinettiego. Niektórzy poczynali się krzywić, a gdy Włoch się pojawił, nawet wszczęły się delikatne pośmiechiwania. Pinetti nie zmieszał się. Oznajmił swobodnie:

— Wiem, że niektórzy drwią sobie z moich umiejętności. Otóż przestrzegam państwa, jeśli kto lekceważy zdolność drugiego człowieka, może się to na nim zemścić. Przyniosłem ze sobą osobliwe skrzypce, które mają tę właściwość, że na kogo wskażę, ten tak będzie tańczył, jak ja mu zagram. Wybieram człowieka, który ostatnio najbardziej na mnie piorunował. Otóż ujrzycie zaraz, że gdy tylko na tych skrzypcach zagram, sam pan Aloyzy Korzeniowski musi pójść w tany!

Pinetti przeciągnął smyczkiem. Wszyscy spojrzeli na pana Aloyzego. Drgnął, ale pozostał w fotelu. Pinetti zbladł. Przeciągnął smyczkiem drugi raz, a krople potu wystąpiły mu na czoło.

Wtedy pan Korzeniowski powoli, jakby się z sobą mocując, powstał i tupnął. Grajek z uśmiechem jeszcze kilka taktów przeciągnął, a pan Aloyzy nogi tanecznie podnosił.

Nadszedł dzień, kiedy słynny iluzjoner zakochał się. Człowiek, który tyle dziwnych pokazał sztuk, miał teraz wywiązać się z najprostrzej, a zarazem najtrudniejszej sztuki.

Na jednym przyjęciu w Warszawie zobaczył młodziutką i piękną Joasię Rościszewką. Po ukazaniu rozmaitych mistyfikacji, którymi zabawiał towarzystwo, zwrócił się do niej:

— Proszę wyrazić życzenie, jaką sztukę mam teraz pokazać?

Jednak młoda panna zawstydzona, że całe audytorium zwróciło na nią uwagę, nie miała żadnych życzeń, jak chyba, aby odwrócić od siebie spojrzenia obecnych.

Joasia miała rysy klasyczne, złotawy warkocz upięty nad czołem okalał jak korona jej głowę. Czerwone usta lekko wydęte, spod brwi wybiegało bystre spojrzenie, a białą twarz barwił lekki rumieniec.

Ostatecznie Pinetti nie otrzymał żadnej odpowiedzi, a zdradził się swoim zainteresowaniem. Wypróbowana zręczność sztukmistrza zawiodła w nagłym zetknięciu się z Amorem.

Pokpiwano sobie, że los wypłatał figla Pinettiemu, ponieważ iluzjoner stracił głowę. Pinetti natomiast wytężał siły, aby znaleźć się znowu w pobliżu Joasi. Wkrótce doniesiono mu, że piękna panna będzie na wieczorze u książąt Czartoryskich. Ponieważ Pinetti był modny, bez większego trudu wystarał się o zaangażowanie na umilenie przyjęcia.

Pinetti wprowadzał w podziw zebranych kunsztownymi figlami, ale zamierzał ukazać sztukę iluzjonerską, w której celował, wyobraźnię swoją narzucając innym. Nawet umysły trzeźwe i oporne ulegały zbiorowej halucynacji.

Pinetti znalazł sposobność, aby się zbliżyć do Joasi. Znowu zapytał, czy nie ma jakiegoś życzenia, a tym razem Joasia nie zmieszała się już i powiedziała:

— Chciałabym mieć białe róże.

Była wczesna wiosna i róż jeszcze nie było w ogrodach. W tej chwili lokaje nalewali czerwone wino do kieliszków. Pinetti poprosił o butelkę białego wina. Sam nalał je do kieliszka Joasi.

Zwrócił się do gości:

— Wypijemy teraz toast za pomyślne kwitnienie róż i za zdrowie panien, które są ozdobą książęcych salonów.

Mówiąc to zatoczył ręką koło ponad stołem, jakby zapraszając do spełnienia toastu. — Dla wszystkich róże purpurowe, dla panny Rościszewskiej róża biała, według jej życzenia.

Sięgnięto po kieliszki i równocześnie cofnięto ręce ze zdumieniem. W kieliszkach całe wnętrze wypełniała czerwona róża, a w kieliszku Joasi biała róża o ledwie rozkwitających płatkach.

Z okrzykami zdziwienia patrzono na dziwne kwiaty, które czerwienią otaczały stół z jedną białą pośrodku.

Joasia zaróżowiona z radości wyciągnęła rękę, aby wyjąć kwiat, lecz w tej chwili rozprysł jej się w palcach i kilka kropel wina spadło na obrus.

Wydała okrzyk żalu. Równocześnie każdy z gości ujrzał przed sobą w kieliszku rubinowe wino.

— Zasuszyć takich róż nie można — powiedziała Joasia do Pinettiego z lekkim uśmiechem. — Z tych kwiatów nie pozostanie wspomnienie.

Za czym zwrócili się z aplauzem do Pinettiego i wzniesiono toast za róże, za piękne panny i za poetyczną wyobraźnię czarodzieja.

Jeszcze raz w niedługim czasie Pinetti ukazał przepych i siłę złudzeń.

Na przyjęciu w pałacu Potockich była również Joasia Rościszewska.

Piękna panna przyglądała się sztukom Pinettiego z chłodnym uśmiechem i nie podzielała zachwytów zebranych gości. Czekała na jakąś szczególną iluzję, która byłaby ukazana przede wszystkim dla niej. Obiecał jej to Pinetti i Joasia oczekiwała czegoś nadzwyczajnego.

Pinetti w czarnym aksamitnym fraku, z białym żabotem, był bez peruki. W kruczoczarnych włosach przewijały się pierwsze srebrzyste nitki. Ale ognistość spojrzenia i żywość ruchów, jak też postawa i smukłość postaci sprawiały, że wydawał się mężczyzną w sile wieku. Na smagłej twarzy miał ujmujący uśmiech.

— Wiosny jeszcze nie ma w parku, ale Flora jest już w pałacu — powiedział zwracając się do Joasi, która była w różowej sukni, osypanej kwiatami.

— Zauważcie jednak państwo, co się dzieje. Wiosna nadchodzi do nas ze swoją przewodniczką!

Przez chwilę utkwił bystre, czarne oczy w klasycznie pięknej twarzy panny Rościszewskiej, po czym spojrzał z uwagą w głąb pałacu.

Z amfilady sal wyłaniały się postacie, barwne cienie. Nadlatywały ptaki barwiście upierzone, przemykały łanie i sarny, trzody owiec, szli pasterze okryci skórami. Potem przemknęły boginki w przezroczystych szatach, rozsiewając nasiona, z których w tej chwili rozwijały się kwiaty, zioła i trawy, zakwitając różnymi kolorami wzdłuż białych ścian pałacowych. Wszystko przedstawiało się tak, jakby wiły się zamglone tęcze.

Wiotkie boginki pląsały bosymi stopami po zwierciadlanej posadzce, w której odbijały się ich gibkie nogi i rozwiane suknie. Naga Wenus, stojąca w rogu sali na postumencie, oplątana barwnymi smugami, zadrżała, uniosła głowę i rozprężyła młode ramiona.

Wówczas zbliżył się do bogini młody mężczyzna i podał jej dzban. Bogini przechyliła dzban, z którego popłynął srebrzysty strumień i płynął szumiąc połyskującą strugą.

Przyglądano się uroczym obrazom w milczeniu. Czuli się wszyscy jakby w kręgu lampy czarnoksięskiej, która roztaczała barwny kalejdoskop.

Pinetti powiedział cichym głosem:

— Drzewo rośnie nad zdrojem.

Wszyscy ujrzeli jabłoń osypaną różowymi kwiatami, gałęziami sięgającą powały.

Ktoś krzyknął, że drzewo przebije strop, że gruz zacznie się sypać na głowy. Obecni wybiegli do ogrodu.

W sali została tylko Joasia. Doznała wrażenia, że nogi jej wrosły w ziemię, że jakieś siły niewidzialne przywiązują ją do drzewa, że zrasta się z korą i staje się drzewem. Uczuła pocałunek na ustach. „Pewnie Dafnis" — pomyślała w przymglonej świadomości, przypomniawszy sobie to imię z mitologii.

W końcu czar prysnął. Władca złudzeń rozwiał fantasmagorię, tak, jak bańkę z wody mydlanej rozbija się dotknięciem słomki. Słychać było ożywione głosy powracających do sali gości.

Joasia, pomieszana, spłonęła naraz rumieńcem. Po chwili odezwała się:

— Raj, który ukazałeś, waćpanie iluzjonerze, był złudny.

Oszołomiona jeszcze, spojrzała wokoło siebie, nie było niczego z tych pięknych obrazów. Ani dla drżącego jeszcze serca nie było choćby cienia uczuć. Żal jej było straconych kilku złudzeń, żal wzruszeń. Powiedziała z cichym wyrzutem:

— Prędko zniknęła iluzja miłości, czarodzieju wyobraźni.

Na to odrzekł Pinetti:

— A jeżeli każde nasze uczucie jest tylko iluzją?

TADEUSZ GICGIER

CZEKAĆ

Czekać na dobrą passę,
czekaj tatka latka,
czekać na pociąg, na taksówkę,
na szczęście,
na szczęście nie spotkało mnie nic złego,
czekać na skutki,
one na siebie długo nie dadzą czekać,
czekać z założonymi rękami
lub drapiąc pazurami
czekać jak zbawienia,
czekać jak kania dżdżu
na przejaśnienie, na słońce,
czekać na pieniądze,
na ewentualną przykrość,
ona przyjdzie wbrew oczekiwaniom,
czekać na uchylenie kary dożywotniego więzienia
w swym ciele,
w miejscu pracy,
czekać biegnąc w miejscu,
czekać na nieoczekiwany cios,
on przejdzie wszelkie oczekiwania,
zawieść czyjeś oczekiwanie,
spełnić je,
spełnić toast,
przeczekać niepogodę,
wzrost napięcia,
spadek ciśnienia
przeczekać zwyżkę cen,
kryzys polityczny,
przeczekać noc niedobrą,
ból zęba,
zły dzień,
przeczekać wyrok śmierci,
przeczekać życie.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

☆
☆ ☆

Mężczyźni których kochałam powracają w snach
Przynoszą cukierki w folii i różowe gladiole
Rosną im skrzydła Poprawiają krawat Strzepują grzebień
A ten maturzysta całuje mnie w splamiony atramentem palik
Co dzień wnoszę ci do naszego domu nową klęskę
Sprawdzam pod światło czy błyszczy Starannie
układam ją w serwantce Spójrz już się nie mieszczą
moje klęski w tym domu Trzeba zmienić dom
Przynosisz mi cukierki w folii i różowe gladiole
I sprawdzasz na zegarze ile mnie ubyło
w naszym Rzymie i Krymie w naszym Fraszkacnocie
Czytam Austina Warren'a albo Agatę Christie
Piszę powieść współczesną z życia Nibelungów
Wymyślam proch i przepis na zupę ogórkową
I skrzydła ci nieuję abyś mógł powrócić
Liczę godziny Liczę dni Pieniądze
wyrzuciłam przez okno I oto nakładam
najjedwabniejszą z halek Najjaśniejszą z łez
I z klęsk najdonioślejszą
Do mężczyzny którego kocham powracam w snach

☆
☆ ☆

góra z górą się zeszła a zioła
rozsypały się w ogon pawi
przez rzek siedem tu biegłam aby
twoje imię leśny wiatr wywołał

twoje imię leśny wiatr wywołał
umierają w słońcu suche trawy
góra z górą wsparły się o czoła
twoje imię uniosły ptaki

twoje imię odfrunęło ode mnie
chociaż ptaki wróciły do gniazda
góra górze podała rękę

góra górze podała gwiazdę
coraz ciemniej we mnie ciągle ciemniej
twoje imię odfrunęło na zawsze

W KRĘGU KULTURY

BIESIADA Z PICASSEM

Renato Guttuso, wieloletni działacz Włoskiej Partii Komunistycznej, jeden z najwybitniejszych współczesnych malarzy włoskich, stworzył ostatnio dla uczczenia pamięci Picassa cykl obrazów zatytułowany „Biesiada". Dzieła te powstały w ciągu zaledwie kilku miesięcy, a ich tematyka to Picasso wśród swych przyjaciół i postaci ze swych obrazów Picasso wśród dawnych mistrzów, u których uczył się i kształcił swój malarski geniusz. Na cykl składa się dwanaście obrazów olejnych oraz dwadzieścia akwareli i rysunków. Dzieła te zostały ostatnio pokazane m. in. na wystawie w jednej z galerii sztuki w Bremie. Ekspozycja zatytułowana jest „Guttuso": Biesiada".

„Biesiada z Picassem, dla Picassa, dla zmarłego przyjaciela, który zjawił się w wizji malarza, zajął miejsce przy jego stole. Rembrandt przewodniczy tej uczcie okrągłego stołu. Obok znaleźli się Cranach, Valasquez, po drugiej zaś stronie siedzą Delacroix i Courbet. Fantazja Renato Guttusa jest niewyczerpana w malowaniu wciąż nowych stołów biesiadnych. Picasso wśród swoich przyjaciół i swoich postaci: Gertruda Stein zajada ryby — martwą naturę, naprzeciw niej siedzi smutny Arlekin z okresu błękitnego, a ranny Apollinaire je spaghetti. Zaproszono parę miłosną z „La vie" i dziewczynę z Avignonu, nad którą lampę dzierży kobieta z obrazu „Guernica". Byk usadowił się między biesiadnikami, a mała Wenus Cranacha położyła rękę na ramieniu Picassa" — opisuje wystawę recenzent hamburskiego pisma „Die Zeit".

WSPOMNIENIA BELLI CHAGALL

W Paryżu zostały świeżo wydane drukiem wspomnienia pierwszej żony osiemdziesięcioszześcioletniego dziś Chagalla, Belli. Była ona jego muzą i jak potem wspominał „najlepszym przyjacielem, najinteligentniejszym krytykiem". Malarz poślubił Bellę w roku 1915. Wielokrotnie uwieczniał ją na swych obrazach. Bella nie przeżyła wojny. Zginęła zamordowana przez hitlerowców w roku 1944. Chagall przebywał wtedy w Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Wspomnienia przetłumaczyła na francuski córka Chagalla i Belli, Ida. Książka zatytułowana jest „Lumieres allumées" (dosł. Zapalone światła). Bella swój pamiętnik pełen prawdziwej poezji, nacechowany miłością do męża i szacunkiem dla jego talentu, prowadziła niemal do swej śmierci.

SMUTNY IONESCO

W miarę jak się starzeje Eugène Ionesco (ur. 1912) staje się coraz bardziej smutny, dając temu wyraz w swej twórczości. Absurd, w którego przedstawieniu jest on mistrzem, już go nie śmieszy, lecz zdaje się budzić strach, uczucia beznadziejności istnienia i życiowego fiaska. Już powieść „Samotnik" była wynikiem tych niepokojów pisarza przed samotnością i śmiercią. Obecnie Ionesco na podstawie swej powieści, jedynej zresztą jaką dotąd napisał, stworzył nową sztukę teatralną, wystawianą obecnie w Paryżu, a zatytułowaną „To straszny burdel". Bohater sztuki prawie nic nie mówi, z rzadka monologuje, monologują i inne postaci dramatu. Jakkolwiek autor zachował dawną sprawność warsztatową, błyszczy zręcznym wygrywaniem paradoksów, ale ze spięć słownych nieraz na pozór śmiesznych, przebija głęboki smutek i beznadziejność.

ZABAWKI Z SONNENBERGU

„Zabawka świadectwem dnia powszedniego" — pod takim tytułem paryski tygodnik „les Nouvelles Littéraires" omawia wystawę zabawek jaka zostanie otwarta od 14 stycznia w Muzeum Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu. Ostatnio zabawki robią karierę. Coraz liczniej muzea traktują zabawkę jako ważny przejaw cywilizacji, świadectwo danej epoki, cenny dokument dla badacza przeszłości.

Wystawa w Paryżu zgromadziła 360 zabawek z Muzeum w Sonnenbergu. To niewielkie miasto u stóp Lasu Turyńskiego w Niemieckiej Republice Demokratycznej jest obok rozwiniętej turystyki, ośrodkiem przemysłu zabawkarskiego. Tradycje zabawkarstwa są tu bardzo dawne. Już w siedemnastym wieku mistrzowie z Sonnenbergu trudnili się wykonywaniem zabawek.

Wystawa w Muzeum Sztuki Dekoracyjnej jest bardzo interesująca. Jest tu kilka zabawek cynowych, dziesięć wspaniałych zwierząt pluszowych, pewna ilość lalek z porcelany i z papier mâché oraz wykonane ze zdumiewającą precyzją malutkie sprzęty domowe i najrozmaitsze inne przedmioty codziennego użytku. Zabawki-laleczki są małych rozmiarów gdyż twórcy zabawek z Sonnenbergu specjalizują się od dawna w miniaturyzacji.

Dziś w Sonnenbergu wytwarza się już inne zabawki. Służą one głównie celom pedagogicznym, a więc rozwijaniu wyobraźni, inwencji, inteligencji. Są to nieraz zestawy klocków, sześcianów lub zabawki bardziej skomplikowane mogące ćwiczyć zmysł techniczny i wynalazczość dzieci.

Opracował:
JANUSZ SKOSZKIEWICZ

— Kiedy zrozumiałem, że nie mam żadnego talentu było już za późno... Zostałem znanym artystą.
„Schveitzer Illustrierte"

ŚWIAT • WYDARZENIA • POLITYKA • KOMENTARZE

TRUDNY DRUGI ETAP

EWG

Ze wszystkich „wielce obiecujących" planów EWG, plan zakończenia w 1980 roku pełnej walutowo-ekonomicznej integracji krajów członkowskich Wspólnego Rynku wzbudza największy sceptycyzm i rozczarowanie. Każdy nowy kryzys walutowy zaskakuje kraje „dziewiątki". Znajdują się one w stanie chaosu, a ich politykę ekonomiczną, podobnie jak i przedtem, określają interesy ściśle narodowe. Tylko w niektórych dziedzinach można zaobserwować istotny postęp w porównaniu z 1971 rokiem, kiedy to przyjęto rezolucję o stopniowym przechodzeniu do całkowitej integracji.

Pierwszy etap tej integracji, obliczony na trzy lata, zbliża się ku końcowi. Jednakże ostateczny cel tego zamierzenia nie stał się przez to ani bliższy, ani jaśniejszy. Nie wiadomo, na przykład, czy będzie możliwa „integracja" walut narodowych, jak zaplanowano to na rok 1980, ponieważ doświadczenia ostatnich lat w tej dziedzinie po prostu rozczarowują. Absolutnie nie wiadomo, jak i kto będzie cementować jednolite kierownictwo we Wspólnocie i do kogo będzie należał decydujący głos: do komisji EWG, czy do rady ministrów. Jaka będzie rola „europejskiego parlamentu"? W jakim stopniu „polityka strukturalna", na którą składają się programy rozwoju regionalnego, społecznego i przemysłowego, wpłynie na osłabienie napięcia, wywołanego „integracją" walutową? Czy zostanie wprowadzona jakaś jedna waluta i właściwie jaka?

W Brukseli nie ma chętnych do odpowiedzenia na te pytania. A tymczasem, już w najbliższym czasie, trzeba będzie wytyczyć dalszą drogę Wspólnoty.

Z dniem 1 stycznia 1974 roku kraje EWG weszły w następny, drugi etap rozwoju integracji, ale co on ma sobą konkretnie reprezentować nikt dokładnie nie wie. Niektóre państwa, włącznie z Francją, NRF i Holandią, zaczynają już otwarcie pytać, czy aby kraje „dziewiątki" są już przygotowane do tego nowego etapu.

Większość ekspertów Wspólnego Rynku uważa, że pierwszego etapu nie można uznać za pomyślny. Niedawno robocza grupa rady ministrów doszła do wniosku, iż w wielu dziedzinach osiągnięcia okazały się o wiele mniejsze od naszkicowanych w planie (chociaż nie zawsze z winy EWG), który przyjęto w rezolucji z 1971 roku. Wspólny Rynek okazał się mocno podatny na międzynarodowe kryzysy walutowe, a wstąpienie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej trzech nowych członków wstrzymało opracowanie jednolitego ustawodawstwa dla wszystkich krajów członkowskich EWG.

W sprawozdaniu grupy roboczej podkreśla się, iż niektóre rządy Wspólnoty nie przejawiają dostatecznej inicjatywy politycznej. Ponadto poszczególne kraje nie wykorzystały mocnych dźwigni oddziaływania ekonomicznego w skali EWG, lecz stosowały własne zabiegi ekonomiczne, które nie dawały oczekiwanych efektów ekonomicznych.

Uważa się ogólnie, iż kroki podjęte w zakresie stosunków walutowych okazały się bardziej skuteczne, niż posunięcia zmierzające do koordynacji programów ekonomicznych, chociaż postęp w tych obu dziedzinach powinien rozwijać się równolegle. Nowy fundusz walutowej regulacji EWG, który jest podstawą przyszłego wspólnego systemu bankowego, został utworzony w kwietniu ub. roku.

W odróżnieniu od problemów walutowych, rozwój współpracy ekonomicznej odbywał się w tempie zwolnionym, ku rozczarowaniu NRF, Holandii i Wielkiej Brytanii, które uważają koordynację wysiłków w dziedzinie współpracy ekonomicznej za niezbędny warunek dalszego pogłębiania integracji walutowej. Z kolei Francja uważa, że najpierw należy uregulować problemy walutowo-finansowe. A zatem zadawniony spór między dwiema grupami krajów w EWG nie został jeszcze zakończony.

Kraje „dziewiątki" przyjęły za zasadę taki porządek prowadzenia konsultacji w zakresie współpracy ekonomicznej, jaki przyjęto w rezolucji z 1971 roku. Trzy razy do roku rada EWG zbiera się na posiedzenia, na których rozpatruje sie sytuację ekonomiczną w krajach Wspólnoty i nakreśla główne kierunki polityki ekonomicznej. Ponadto, na konferencjach konfrontowano zazwyczaj politykę budżetową rozmaitych krajów, uzgadniano wspólne cele. Później powołano nową komisję, rozpatrującą problemy koordynacji bieżącej polityki ekonomicznej i finansowej krajów EWG. W niecały rok odbyła ona aż dziesięć posiedzeń.

Jednakże, jak twierdzą eksperci EWG, oddziaływanie tych wszystkich konsultacji i decyzji podejmowanych w stolicach krajów członkowskich Wspólnego Rynku było znikome. Same zalecenia z reguły bardziej odzwierciedlały interesy poszczególnych krajów, aniżeli interesy Wspólnoty w ogóle, a rządy poszczególnych krajów często nie uważały nawet za stosowne informowanie swoich partnerów o decyzjach sprzecznych z zaleceniami Rady. Nie dała widocznych wyników także wspólna walka krajów EWG z inflacją. Opóźniają się również prace w zakresie uporządkowania podatkowej polityki krajów EWG.

Od czasu przyjęcia rezolucji w 1971 roku nie dokonano także pozytywnych zmian w dziedzinie liberalizacji ruchu kapitałów. Co więcej, ujawniły się tutaj nowe trudności. W Brukseli uważa się, że współpraca w dziedzinie finansów i kredytu wewnątrz kraju Wspólnego Rynku była niezadowalająca.

Wszystko to — zauważa smętnie publicysta londyjskiego „Financial Times" — jest bardzo na rękę tym wszystkim siłom, które uważają, iż Wspólnota nie jest jeszcze przygotowana do nowego etapu integracji. Wątpliwości tego rodzaju wysuwa się często w określonych celach politycznych. Na przykład NRF żąda priorytetu we współpracy ekonomicznej w zakresie integracji walutowej.

NRF uczestniczy w finansowaniu większości wspólnych projektów EWG i z pewnością będzie musiała oddać swoje fundusze do dyspozycji tych krajów Wspólnego Rynku, które zetkną się z trudnościami walutowymi. Dlatego więc silna i scentralizowana kontrola, w której Bonn miałoby decydujący głos w określonych posunięciach współpracy ekonomicznej, bez wątpienia odpowiada interesom NRF. Dlatego w Bonn uważa się, że dążeniu do następnego etapu powinno towarzyszyć znaczne zwiększenie centralizacji w kształtowaniu polityki ekonomicznej EWG. W tym żądaniu Bonn ma sojusznika w Holandii.

Holendrzy nadal obstają przy swoich dawnych żądaniach bardziej ogólnego charakteru, a mianowicie rozszerzeniu pełnomocnictw instytucji Wspólnoty, przede wszystkim zaś „parlamentu europejskiego". Już od wielu miesięcy nie przestają oni powtarzać, że zgodzą się na przejście do następnego etapu integracji, ale pod warunkiem, iż w instytucjach tych przeprowadzi się radykalne reformy. Na ostatnim spotkaniu ministrów finansów „dziewiątki" Holendrzy zaproponowali, żeby odłożyć przejście do następnego etapu integracji EWG na jeden rok, a przez ten czas ulepszyć pracę instytucji Wspólnego Rynku.

Ale najbardziej nieprzejednane stanowisko zajęła Francja. Na ostatnich posiedzeniach EWG strona francuska mocno nalegała na przyjęcie wspólnego dla wszystkich krajów EWG płynnego kursu walut, a tym także angielskiego funta i włoskiego lira. Francja wysunęła to jako niezbędny warunek przejścia do następnego etapu integracji. Jest to jednak warunek, którego Anglia przyjąć nie może.

Dla Anglii przejście do następnego etapu integracji Wspólnego Rynku jest niezwykle ważne, przede wszystkim dlatego, że jest ona bardzo zainteresowana w powodzeniu „strukturalnej", a w szczególności „regionalnej" polityki, która, zgodnie z planem, ma wydać owoce na drugim etapie.

Co będzie dalej — trudno dziś przewidzieć. Jedno jest pewne: snucie jakichkolwiek planów do 1980 roku jest bezsensowne dopóty, dopóki nie ukształtuje się nowy światowy system walutowy.

Cytowany już publicysta „Financial Times" nie stawia różowych prognoz Wspólnemu Rynkowi w roku 1974. Wyraża przypuszczenie, iż w 1975 roku kraje zachodnioeuropejskiej Wspólnoty będą się chyba musiały zebrać na jeszcze jedną konferencję, żeby nakreślić plany bardziej bliskiego „zjednoczenia europejskiego" do roku 1980, włączając doń integrację ekonomiczną i walutową.

Wydaje się jednak, iż należałoby dodać do rozważań „Financial Times" że nie nastąpi to dopóty, dopóki kraje „dziewiątki" nie zdadzą sobie sprawy z tego, co to jest „sojusz ekonomiczny i walutowy". Zamknięte ugrupowania polityczno-ekonomiczne w ramach integracji krajów zachodnich nie mają perspektyw. Jest coraz bardziej oczywiste, iż interesom wszystkich narodów odpowiada orientacja na korzystną dla wszystkich krajów współpracę ogólnoeuropejską.

JERZY CZECH

NAJWIĘKSZA SZANSA OD 25 LAT

Stary rok zakończył się na Bliskim Wschodzie pomyślniej niż można było sądzić. Po raz pierwszy od 25 lat spotkali się w jednej sali konferencyjnej przedstawiciele Egiptu i innych krajów arabskich z przedstawicielami Izraela w intencji poszukiwania dróg pokojowego rozwiązania konfliktu. Ćwierćwiecze, które minęło, nie było wypełnione rokowaniami, przyniosło cztery wojny.

Po raz pierwszy też od 1966 roku spotkali się ministrowie: Gromyko i Eban. Był to zarazem pierwszy radziecko-izraelski kontakt od czasu zerwania stosunków dyplomatycznych w 1967 r.

Wstępna faza bliskowschodniej konferencji pokojowej odbyła się w Genewie — w Pałacu Narodów, w którym mieści się europejskie biuro ONZ. Zjechali na nią: sekretarz generalny ONZ, ministrowie Spraw Zagranicznych ZSRR i USA oraz Egiptu, Jordanii i Izraela. Pustką świecił tylko stół delegacji Syrii, która ostatecznie nie wzięła udziału w inauguracyjnym etapie konferencji. Przypuszcza się, że jej przedstawiciele przybędą później — razem z delegatami palestyńskimi.

Już sam fakt dojścia do skutku konferencji można uznać za pocieszające novum. Nie było przecież takiej sytuacji w ciągu minionych lat. Ale istotniejsze jest to, że zakończyła się ona sukcesem — postanowiono bowiem kontynuować rozmowy nad całością problemu bliskowschodniego. Uznano także za najważniejsze rozdzielenie wojsk wzdłuż Kanału Sueskiego. W tym celu powołano wojskową komisję roboczą. A więc nie zadowolono się formułowaniem dobrej woli, powołano praktyczny instrument działania. Powzięto decyzję o utworzeniu drugiej grupy roboczej, która zajmie się innymi zagadnieniami, wypływającymi z konfliktu.

Jest to dobry prognostyk, gdyż przed konferencją stoją zadania dużej wagi: zwrotu przez Izrael okupowanych terytoriów, przyszłości Jerozolimy, określenia praw narodu palestyńskiego oraz podjęcia gwarancji międzynarodowych dla definitywnego rozwiązania problemu bliskowschodniego.

— Arabowie przystąpili do tej konferencji — piszą agencje światowe — w poczuciu siły i jedności po październikowych sukcesach, Izraelczycy wciąż ufni w siebie, choć może bardziej skłonni do szukania rozwiązań niż kiedykolwiek. Zachodzą bowiem w izraelskiej opinii publicznej pewne procesy, które przeczą oficjalnej tezie, głoszonej po 1967 roku, że tylko aneksja ziem arabskich może zapewnić bezpieczeństwo Izraela.

Wszystko to otwiera nowe nadzieje.

Często zresztą, jak podkreślił nim. Gromyko, w wielu częściach kuli ziemskiej udawało się rozwiązywać problemy nawet wtedy, gdy wydawało się, że nie ma po co przystąpić do rokowań. Przykład Wietnamu jest tu koronnym.

Na Bliskim Wschodzie są przesłanki do powrotu pokoju. Stwarza je także współdziałanie ZSRR i USA w przygotowaniu i przebiegu konferencji, wynikające z wzajemnego porozumienia. Jest przeto historyczna szansa życia obok siebie w bezpiecznych warunkach państw arabskich i Izraela.

Druga faza konferencji — już na niższym szczeblu, ale nie niższym niż ambasadorów — rozpocznie się najprawdopodobniej w styczniu. Jest możliwe, że jej uczestnicy wyznaczą dalsze komisje lub grupy robocze do przestudiowania różnych problemów.

Cieszy w sytuacji bliskowschodniej przede wszystkim to, iż odczuwa się zmianę klimatu — z eskalacji wrogości wobec siebie stron konfliktu na ich gotowość dyskusji. Będzie ona z pewnością żmudna i niezbędna jest cierpliwość w oczekiwaniu na jej sukces, ale wszyscy zdają sobie jednocześnie sprawę z czynnika czasu. Chciałoby się więc nieśmiało, wyrazić nadzieję, że może do dat wojen bliskowschodnich: 1947—48, 1956, 1967 i 1973 — rok 1974 dopisze datę pokoju. Wygaszenie ostatniego z aktualnych zapalnych ognisk światowych miałoby dobroczynny wpływ na utrwalenie pokoju.

Kurt Waldheim oświadczył, że inauguracyjna konferencja w Genewie „była dobrym początkiem". Chcemy wierzyć, że i dalsze obrady potoczą się w duchu pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu. I dlatego będziemy je uważnie śledzić.

* * *

Pożegnaliśmy przed kilku dniami 1973 rok. Był to w polityce międzynarodowej rok doniosły. Przyniósł pokój w Wietnamie, Europejską Konferencję Bezpieczństwa i Współpracy, wiedeńskie rokowania na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie, nową turę rokowań SALT, nie mające precedensu porozumienia radziecko-amerykańskie, a wśród nich porozumienie o wykluczeniu wojny nuklearnej. Na liście najważniejszych wydarzeń 1973 roku znajduje się również przyjęcie obu państw niemieckich do ONZ i właśnie podjęcie rokowań bliskowschodnich.

Łatwo, jednym tchem wylicza się te fakty. Ile jednakże trzeba było wysiłku, aby odwrócić bieg wydarzeń i wprowadzić je na tory odprężeniowe. Jest w tym historyczna zasługa Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznej wspólnoty. Ta nasza aktywność na międzynarodowej arenie, mająca jeden tylko cel: utrwalenie pokoju, przyniosła zmianę światowego klimatu. Dlatego rozpoczynamy rok 1974 w przekonaniu, że proces odprężeniowy będzie się rozwijał.

W. SŁAWSKI

OPOWIEŚCI HORACEGO SAFRINA

Niedawno w lokalu Związku Literatów Polskich w Łodzi odbyła się miła kameralna uroczystość z okazji sześćdziesiątej rocznicy debiutu Horacego Safrina. Niemożliwe! — zakrzyknie czytelnik, który przed tygodniem lub dwoma na jakimś wieczorze autorskim miał możność słuchać opowieści — jak zawsze ze swadą snutych przez Jubilata. A jednak to prawda!

Sześćdziesiąt lat temu Horacy Safrin wydał swoją pierwszą książkę — tomik poezji. Oszczędzę czytelnikom fatygi i powiem od razu, że stanisławowski poeta miał wówczas lat... czternaście.

Jeśli to kogoś zdziwi, to za chwilę zdziwi się jeszcze bardziej. Oto Horacy Safrin sam osobiście przyznaje się w swoim tomie wspomnień: „Pierwszy utwór prozą popełniłem dość wcześnie, bo w szóstym roku życia jako uczeń pierwszej klasy Szkoły Ludowej im. Czackiego. Działo się to w pewien czas po przeprowadzce z rodzinnych Monasterzysk do Stanisławowa..." Ów pierwszy utwór prozą nosił tytuł: „Kara na Hönigsbergów", a brzmiał tak: „Dlatego, że zabronili nam zrywać gruszki, dlatego im się złamało drzewo". Koniec utworu.

W ten sposób mały Horacy opisał scenę, jak to młody buchalter firmy „Hönigsberg i Spółka" wlazł na gruszę i spadł z niej na zbity łeb, łamiąc gałąź...

Do pierwszego wiersza — jak przyznaje się Safrin — skłoniło go uczucie do koleżanki — w wieku lat ośmiu. Utwór ten brzmiał:

„Jeden kocha róże, bratki
drugi lilie i bławatki.
A ja kocham, zdaje mi się
koleżankę, Amster Wisię".

Powie ktoś, że ja sobie żartuję, a przecież tu — panie dzieju — Jubileusz, powaga i tak dalej... Przepraszam, to nie ja sobie żartuję, to sam Horacy Safrin. Pisarz ten posiadł bowiem, jak rzadko kto, umiejętność **kpiny, ironii, żartu — posiada znakomite poczucie humoru, a ta rzadka umiejętność polega przede wszystkim na tym, aby umieć się śmiać także z siebie i swoich bliskich.** Z tą wszakże poprawką, że humor i ironia Safrina nigdy nie były i nie są złośliwe, szydercze i nieżyczliwe ludziom. Przeciwnie — safrinowski humor jest ciepły, pełen sympatii i wyrozumiałości dla ludzi. Wydaje mi się zresztą, że tak naprawdę żartować z ludzi ma prawo tylko ten, kto ich prawdziwie kocha i rozumie. Horacy Safrin ma to prawo.

Nasz siedemdziesięcioczteroletni Jubilat studiował filologię niemiecką i angielską na Uniwersytecie w Wiedniu, studiował także w wiedeńskiej Szkole Technicznej. Był aktorem i do roku 1939 kierownikiem literackim Teatru im. Goldfadena w Stanisławowie. Napisał parę sztuk teatralnych, wiele tłumaczył zarówno z literatury żydowskiej na polski jak i z polskiego na język żydowski...

A jednak najbardziej bliski jest dla czytelników Safrin-satyryk, zbieracz anegdot, autor bajek i utworów satyrycznych. Przed laty furorę zrobiła jego książka „Przy szabasowych świecach", która miała trzy wydania, a mogłaby mieć dziesięć, bowiem jest wciąż księgarskim rarytasem i białym krukiem. W „Szabasowych świecach" utrwalił Safrin ten przedziwny świat żydowsko-polsko-ukraiński, świat, którego już nie ma, a który przecież tak autentycznie żyje, iskrzy się humorem o niezrównanej specyfice — po prostu jest, właśnie dzięki Safrinowi.

Wcale nie przesadzam. Stanisław Czernik przed laty pisał o twórczości Safrina: „Przypomnijmy Boya! Bez jego anegdotycznych ujęć nie mielibyśmy pojęcia o życiu artystycznym Krakowa sprzed pięćdziesięciu lat(...) Właśnie ten rodzaj anegdoty znalazł się w książce Horacego Safrina. To rzecz w dzisiejszej literaturze humorystycznej niespotykana".

Twórczość Safrina jest w istocie zjawiskiem rzadkim. Chętnie uprawia zapomniany dziś gatunek, jakim są bajki — te wywodzące się od La Fontaine'a, operujące alegorią lub czerpiące z doświadczeń i mądrości określonych kręgów kulturowych i ludowej anegdoty żydowskiej. Takie — wydane przed laty — książki Safrina, jak „Ośla szczęka", „Mucha na cokole", „Głupcy z Głupska" są tego dowodem. Trzy lata temu natomiast twórczość Safrina weszła w etap nowy, memuary. Na razie otrzymaliśmy tylko pierwszy tom — jakby zapowiedź. Czekamy więc na dalszą, barwną i ze swadą snutą opowieść Horacego Safrina.

WIDOK

NIE TA SKALA

Bajka „O rybaku i złotej rybce" jest satyrą na ludzką chciwość, na egoizm, pyszałkowatość i podłość. Żona Starego Rybaka dlatego musi wrócić do starej rozwalonej chatki na brzegu morza, bo nie potrafiła zachować umiaru, bo w swoich żądaniach przebrała miarę. Gdyby potrafiła zachować właściwą skalę w tych żądaniach, to oczywiście być może żyłaby jako ruska bojaryna, ale nie byłoby znakomitej bajki.

Bajki — niestety — układa samo życie, a bajkopisarze anonimowi i znani czytelnikom z imienia i nazwiska zajmują się już tylko zręcznym przekazywaniem tego, co podsunęło im życie. Czynią to ze względów dydaktycznych, aby przestrzegać ludzi przed różnymi przypadłościami naszej natury. Ludzie, jak to ludzie. Bajki słuchają, a swoje robią. I nie znają umiaru. Krytycyzmu nam czasem brakuje, skali porównawczej.

Przykładem tego może być przedziwna historia polskiego samochodu o elektrycznym napędzie. **„Prototyp rewelacyjnego samochodu elektrycznego sensacją w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych"** — pisze „Express Ilustrowany". Nie on jeden zresztą. Ów **„prototyp rewelacyjnego samochodu elektrycznego"** pokazano w NRF, gdzie zdobył sobie uznanie i sympatię. Dziś, kiedy w warsztatach samochodowych wielu krajów reperuje się rowery, nietrudno o zachwyt dla jakiegokolwiek pojazdu, który rusza się prędzej od człowieka, a nie wymaga benzyny. W kinie widziałem młodych ludzi, którzy wymyślili samochód na... rowerowe pedały. Też można.

„Prototyp rewelacyjnego samochodu elektrycznego" wywołał już raz sensację. W „Szpilkach". Reporter tego pisma zamówił nawet telefoniczną rozmowę z inż. Łobarzewskim z WSK w Mielcu, ale konstruktor **„prototypu rewelacyjnego samochodu elektrycznego"** odmówił, wyjaśniając „Szpilkom" przez telefon, że ministerstwo zabroniło udzielania wywiadów na temat owej rewelacji. „Szpilki" lubią draki więc uparty reporter tego pisma pojechał do Mielca, ale tam strażnik w bramie poinformował go, że nikt z nim nie będzie rozmawiał. Mimo to „Szpilki" opublikowały dwa „rewelacyjne" zdjęcia. Owego **„prototypu rewelacyjnego samochodu elektrycznego"** oraz jego protoplasty — zdjęcie wózka golfowego „Melex".

I nie ma wątpliwości, że w „Szpilkach" i „Expressie Ilustrowanym" chodzi o jedno i to samo. „Express Ilustrowany" pisze: **„Znajdujący się w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych pojazd jest wersją, która zapoczątkowała w Mielcu seryjną produkcję wózków golfowych".** Otóż owa „rewelacja" rozwija szybkość 30 km na godzinę i może przejechać nieprzerwanie 80 km. Na pole golfowe — wystarczy.

Być może nie wszyscy wiedzą, co to jest golf. Jest to bowiem gra, którą uwielbiają dyplomaci, zagraniczni oczywiście, niedobitki rodzin królewskich oraz różni zgnili kapitaliści. Do gry w golfa potrzeba: a) specjalnych kijów, b) piłeczek kauczukowych, c) dołków w rozległym terenie. Dołki muszą być bowiem oddalone od siebie o 500 metrów. Do tych dołków najmniejszą ilością uderzeń kija trzeba wprowadzić kauczukową piłeczkę. Tereny golfowe są bardzo rozległe i wynoszą od 20 do 40 ha. Do poruszania się po tych terenach potrzebne są wózki. I właśnie WSK w Mielcu produkuje takie wózki „Melex". Jeden z nich zawitał do WFF w Łodzi.

A po co?

„Express Ilustrowany" odpowiada na to pytanie: **„Wkrótce „Melex" zadebiutuje w nowej roli. Będzie spełniał funkcje wózka do kamery filmowej".** I gdyby bardziej uważny Czytelnik wykrzyknął nagle: — Przecież my mamy wózki akumulatorowe, które używa się w fabrykach! To bym jednak uprzejmie wyjaśnił, że „Melex" ma nad nimi znaczną przewagę, bowiem „Dzięki doskonałej amortyzacji i szerokim oponom, oryginalny samochód może z łatwością pokonywać nierówności drogi, a nawet jeździć bez przeszkód po piaszczystej plaży". Do tego został zbudowany. I po adaptacji będzie doskonałym wózkiem dla kamery.

Ale ja nawet nie dziwię się, że wózek ten wzbudził w WFF „prawdziwą sensację" — jak pisze „Express Ilustrowany", bo też do tej pory kamerę woziło się wózkiem po ułożonych szynach, który to wózek **„na sygnał reżysera po prostu popycha się po ułożonych szynach".** A zgnili burżuje kije golfowe wozili „melexami" po swoich golfowych polach. Słusznie więc postąpiono, że teraz „Melex" będzie woził naszego reżysera i naszą kamerę i że zastąpi ludzkie ręce i nogi, które do tej pory służyły za mechanizm poruszający wózek z ludowym reżyserem.

A tak naprawdę, to ja nie mam absolutnie, ale to absolutnie nic przeciwko WSK w Mielcu, ani przeciwko „Melexowi", ani „Szpilkom", ani „Expressowi Ilustrowanemu". Mam natomiast przeciwko nadużywaniu wielkich słów. „Nie wszystko jest złotem, co się świeci" — mawiali starożytni Polacy i ja im wierzę. Dlatego proponowałbym nieśmiało, aby nie nadużywać niektórych słów, a już słowo „rewelacja" zachować na szczególne okoliczności, aby się trochę nie ośmieszać. Po prostu — proponuję nieśmiało — aby pamiętać, że to, co jest rewelacją w skali WFF, nie musi być zaraz rewelacją dla „Expressu Ilustrowanego". I nie tylko.

RODAK

ANDRZEJ GRUN **FRYZURY**

W ZWIĄZKU Z KARNAWAŁEM

Jak zwykle Sylwestrem wkroczyliśmy w Nowy Rok, zaczynając tym karnawał, czyli okres wzmożonego tańcowania. I tylko nieliczni zauważą, że w tym roku zabaw tanecznych jest mniej, że zastępują je spotkania domowe, gdzie się oczywiście nie tańczy, gdzie się tylko pije i ryczy, bo na tańczenie i w ogóle na jakąkolwiek zabawę brak miejsca. Nie urządza się teraz — bo nie wolno — balów i wieczornic w biurach i urzędach, nie ma ich w szkołach, ani dla młodzieży, ani dla rodziców. Zostają tylko największe zakłady przemysłowe, dysponujące świetlicami i lokale gastronomiczne.

Nie silę się na ocenę moralną, społeczną czy obyczajową tego faktu, stwierdzam po prostu, że w porównaniu z okresem sprzed piętnastu — dwudziestu lat liczba prawdziwych, publicznych zabaw tanecznych, balów, rautów — spadła do jednej piątej. Czy dlatego, że przez wiele lat taniec w naszej literaturze, poezji, historii, w naszym odczuciu „przyzwoitości" miał taką złą prasę?

Augurzy naszej świadomości narodowej, kaznodzieje, wieszcze — uznali od dawna taniec za demoniczną antytezę patriotyzmu, gotowości do ofiar za największą sprawę. Sala balowa, grono rozbawionych ludzi — to w naszej literaturze zawsze czynnik skontrastowania dobra i zła, przeciwstawienia sobie tych dobrych, mądrych, zapalonych, bojowych — z tymi gnuśnymi, cynicznymi, niegodnymi imienia Polaków, nieomal zdrajcami.

Poecie w „Weselu", patrzącemu na kolorowy korowód roztańczonych par, jawi się nagle zakrwawiony duch Szeli, gorzki Stańczyk i natchniony starzec — Wernyhora. Jakże pusta i niegodna jest racja tych roześmianych, rozbawionych, szczęśliwych, wobec tragicznych racji tamtych trzech!

W pięknym wierszu Lechonia „w mazurze — nie — w mazurku — idą wszystkie pary", gdy Mochnacki „blady jak ściana płacze, zrywa ton i kolor spod klawiszy wypruwa — czerwony... aż spazm ryknął, strach podły i z miejsc się porwali: Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!"

Cała „Ozimina" Berenta to wielkie przyjęcie u baronostwa, są tu hrabiowie, bankierzy, wielcy ziemianie jest carski pułkownik; tańczy się poloneza i mazura, gdy wchodzi ordynans i wręcza pułkownikowi depeszę: wojna japońska wszczęta! Za oknami przeciągają pierwsi zmobilizowani, tu — wszystkie pary tańczą, tylko były zesłaniec, bojowiec i konspirator nieznanego bliżej autoramentu nie tańczy, ma ważniejsze sprawy na głowie, wybiega i ginie od kozackiej kuli. Bal trwa do rana.

W dramacie Zegadłowicza „Domek z kart" sanacyjni generałowie, pułkownicy i panie ministrowe tańczą lambeth walka, gdy na mieście rozkleja się mobilizacyjne plakaty. Bez tego lambeth walka plakaty nie miałyby swej dramatycznej wymowy.

W „Lotnej" Żukrowskiego cała chata trzęsie się od wesela i radości, a za oknami „wciąż idzie piechota; aż wreszcie pomiędzy pijanymi, roztańczonymi weselnikami zjawia się — znów jak wyrzut sumienia — zmęczony, brudny padający z nóg żołnierz „wrześniowy" z groźnym okrzykiem: jeść! Ten jego głód też nie wywołałby dreszczu w czytelniku, gdyby nie rzucono go na tło hulanki i tańca tamtych.

Przykłady można mnożyć, można całe uczone studium napisać pod tytułem „Taniec jako synteza i symbol cynizmu w literaturze polskiej". Nie, to nie pretensja pod adresem literatury. To próba pozbycia się jeszcze jednego reliktu złej przeszłości, rozprawienia się z jeszcze jednym widmem, obciążającym głębsze warstwy naszej świadomości, a zrodzonym z warunków, w jakich żył nasz naród. My mamy prawo do radości! Nasza radość już nie jest cyniczna, już niczyich uczuć nie obraża! Mamy prawo do wszystkich godziwych radości świata, do wszystkich ludzkich spraw — a wszak była i taka definicja gatunku zoologicznego, do którego należymy: homo ludens. Człowiek bawiący się. Zabawa jak wyróżnik gatunkowy, jako odróżniająca cecha człowieczeństwa!

Bawmy się zatem w nadchodzącym karnawale jak najweselej, co oczywiście nie znaczy: bez żadnych hamulców. Tańczmy nareszcie nie komuś na złość, nie mimo czegoś, nie na przekór i nie ku zgorszeniu, tylko zwyczajnie i po prostu dlatego, że to przyjemnie, że chcemy się pośmiać, poweselić, poszumieć. Przyjemnej zabawy! —

ĆWIEK

ZANIKAJĄCE ZWYCZAJE

— Jak dawniej wyglądały wierzenia, zwyczaje i obyczaje świąteczne na Ziemi Łódzkiej? — pytam kustosza Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi — mgr IRENĘ LECHOWĄ.

— Nie we wszystkich wsiach zwyczaje te przetrwały. Potrawy wigilijne miały związek z pewnymi wierzeniami. Na przykład kluski żytnie robiono okazałych rozmiarów, bo wierzono, że kłosy w czasie żniw będą tak samo dorodne. Gotowano kaszę i groch, bo potrawy te miały zapewnić tyle pomyślności, ile ziarenek zawierały. Przestrzegano przy tym, by potraw było nie do pary, natomiast biesiadników powinna być liczba parzysta, bo w przeciwnym wypadku mógłby ktoś nie doczekać przyszłych świąt.

Ze świętami Bożego Narodzenia wiązały się różne wróżby i przepowiednie. Starzy ludzie na wsi pamiętają, że ojcowie ich zdejmowali w wigilię pajęczynę w oborze, aby ustrzec bydło od złego. Obawiano się, by kobieta nie przekroczyła pierwsza progu izby, gdyż cały rok byłby nieszczęśliwy. Dziewczęta wróżyły w tym dniu, czy wyjdą z najbliższym czasie za mąż. Liczyły więc, czy śliwki przygotowane na kompot były w ilości parzystej, albo czy szczapy drewna przyniesione do pary.

Gospodarze natomiast szukali prognoz rolniczych. Śnieżna i mroźna wigilia była zapowiedzią dobrego urodzaju, natomiast bezśnieżna, jak mówiono — zielona, wróżyła zły rok dla urodzajów. Gospodynie obserwowały w tym czasie niebo i z kłębiastych chmur wróżyły obfitość paszy i dużą mleczność krów.

— Czy zachowało się coś z tych zwyczajów do dziś?

— Niewątpliwie we wsiach bardziej oddalonych od miast mogły się niektóre zwyczaje zachować. Na pewno starsze pokolenie wierzy jeszcze w jakąś bliską obecność w czasie świąt zmarłych członków rodzin, wspomina ludzi, którzy niedawno odeszli, ale zwyczaje te tracą swoje dawne znaczenie w dzisiejszym życiu. Nie przywiązuje się wagi szczególnie do tych, związanych z magią. Dzisiejsza technika rolnicza wypiera wierzenia, którymi dawniej starano się poprawić urodzaj.

— Skąd pochodzi zwyczaj ubierania choinki?

— Choinka przeniesiona została do Polski w wieku XIX. Na wsi rozpowszechniła się na krótko przed I wojną światową i już w okresie międzywojennym, a szczególnie dziś, stała się bardzo popularna. Dawniej na wsi, zamiast choinki, zawieszano u sufitu ozdoby z opłatków, jakieś gwiazdy, kolebeczki. Pod obrus na stole wkładano skromne prezenty dla członków rodziny, zwłaszcza dla dzieci.

— A zwyczaj łamania się opłatkiem?

— W dalszym ciągu jest kultywowany i, co ciekawe, wiąże się nie tylko ze zwyczajami kościelnymi, ze środowiskami katolickimi. Praktykowany jest także w rodzinach laickich. Opłatek symbolizuje tutaj jakąś jedność, więź rodzinną. I w tym charakterze jest przyjmowany i kultywowany.

— Czy w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym przechowały się jakieś eksponaty, związane bezpośrednio z wierzeniami i zwyczajami świątecznymi?

— Gromadzimy tutaj rekwizyty obrzędowe, związane ze świętami dodocznymi lub obrędami rodzinnymi, jak np. wesela czy chrzciny. Jeśli chodzi o święta Bożego Narodzenia, mamy bardzo piękne gwiazdy, zakupione głównie na terenie Podlasia i Żywiecczyzny. Mamy szopki krakowskie. Mamy też dwie szopki wykonane u nas, w Łodzi. Zrobili je emeryci. Mamy też stroje herodów, szopki kukiełkowe z różnych stron Polski, a w tym bardzo piękną szopkę z powiatu limanowskiego.

— Mimo upływu czasu, niektóre zwyczaje i obyczaje świąteczne przetrwały do dnia dzisiejszego. Komu lub czemu to zawdzięczamy?

— Dawne wierzenia bardzo silnie zaznaczają się w pamięci ludzi. Starsi, którzy czasem nie znajdują już chętnych słuchaczy w swoim środowisku, bo młodzież interesuje się dziś innymi sprawami, bardzo chętnie opowiadają nam — etnografom, swoje dawne przeżycia, związane ze świętami i charakteryzują dawne obyczaje. Dlatego też przy prowadzeniu badań terenowych nie mamy nigdy kłopotów z informatorami. Bez trudu dowiadujemy się o przeszłości. Jest to cenny materiał, który wzbogaca naszą wiedzę o dawnych czasach i wierzeniach, obyczajach i zwyczajach. Dlatego też nie rezygnujemy z tradycji. Widzimy w niej cenne elementy emocjonalne i wzruszającą lirykę, przetwarzamy je na swój sposób i przekazujemy dalszym pokoleniom.

Rozmawiał: FRANCISZEK LEWANDOWSKI

ŚWIAT ZWIERZĄT

Jest to album, który można polecić dosłownie każdemu. Ponad tysiąc zdjęć, w tym sporo barwnych, przedstawiających najrozmaitsze gatunki zwierzęce w porządku systematycznym złożyły się na ten wyjątkowy atlas, dzieło wieloletniej pracy czeskiego zoologa dra V. J. Stanka. Zdjęciom towarzyszy popularny komentarz wprowadzający nas w skomplikowane sprawy królestwa zwierząt. Bogata kolekcja fotografii zastanawia swoimi artystycznymi walorami i spełnia obok informacyjnej funkcję estetyczną, uczy nas podpatrywać urodę świata. To dodatkowa zaleta atlasu wydrukowanego w Czechosłowacji na zlecenie polskiego wydawcy. Tłumacz komentarzy Tomasz Umiński dokonał w tekście pewnych adaptacji na nasz rodzimy użytek dodając informacje o zwierzętach występujących w naszym kraju.

Myślę, że ta wspaniale wydana książka przyczynić się może do rozwoju szlachetnego hobby: bezkrwawych łowów z aparatem fotograficznym w ręku. Jeśli nawet hobbyści nie dorównają dr V. Stankowi, to przecież i tak pożytki z tych amatorskich kolekcji będą wielkie. A więc, do zobaczenia. W ZOO.

V. J. Stanek: „Wielki atlas zwierząt", Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa 1973, wydanie trzecie, str. 592, cena zł 210.—

POLACY WŚRÓD NIEMCÓW

Stanisław Szenic, autor szeregu popularnych pitavali i książek z historii kultury sięgnął tym razem po temat wyjątkowo mało znany. W najnowszym zbiorze esejów postanowił dać odpowiedź na pytanie: jaki jest wkład Polaków w rozwój niemieckiej kultury i gospodarki? Okazuje się, że wcale nie mały. Już Regelinda, córka Bolesława Chrobrego a żona Hermana, margrabiego Miśni trwale zaznaczyła się w historii Niemiec, co poświadcza posąg księżniczki w katedrze naumburskiej. A przecież z polskiej rodziny wywodził się także Gottfried Leibniz, najwybitniejszy myśliciel przełomu XVII i XVIII w. Także filozof i poeta Nietzsche przyznawał się do swego polskiego rodowodu. A najwybitniejszy malarz i grafik pruskiego rokoka Daniel Chodowiecki? Już samo brzmienie jego nazwiska wskazuje bezpośrednio, gdzie była wcześniejsza ojczyzna artysty. Długa jest lista nazwisk Polaków, którzy wiele zasłużyli się w dziejach Niemiec. Są na tej liście przemysłowcy, pisarze, kompozytorzy. Okazuje się, że mimo niemieckiej ekspansji wcale nie staliśmy na pozycjach przegranych. Nie tylko braliśmy od świata, ale wnosiliśmy swój własny wkład w rozwój kulturalny i cywilizacyjny innych narodów. Książka Szenica rysuje nasz współudział w rozwoju zachodniego sąsiada, a to przecież nieznaczna tylko cząstka polskiej obecności w światowej kulturze.

Stanisław Szenic: „Za zachodnią miedzą" (Polacy w życiu Niemiec XVIII i XIX wieku), PIW, 1973, str. 321, cena zł 50.—

KRYMINAŁ Z AMBICJAMI

Józef Hen, autor poczytnych powieści, scenarzysta filmowy, sięgnął po temat sensacyjny wplatając w wątek kryminalny problematykę moralną i polityczną. Podobne zabiegi rzadko wychodzą powieściom na korzyść, ale, o dziwo, Henowi udało się napisać powieść wartką, trzymającą w napięciu, sprawną. Może dlatego właśnie, że bardziej jest to powieść kryminalna ze wszystkimi jej klasycznymi regułami niż „dramat sumienia", o którym lojalnie uprzedza nas na skrzydełku obwoluty wydawca. Narrator książki, podstarzały urzędnik, opowiada o swojej młodzieńczej, powojennej przygodzie w nadbałtyckiej miejscowości, gdzie ulokował się były agent gestapo o kryptonimie Złowrogi. Narrator, noszący z konspiracyjnych czasów pseudonim Dymitr, wkracza do akcji w momencie, gdy ginie tam wysłannik władz bezpieczeństwa, który wpadł na trop niebezpiecznego agenta. Justynian zostaje zamordowany podczas gry w pokera, co stanowi ważną wskazówkę dla Dymitra. Więcej z akcji zdradzać nie mogę.

Choć jest to typowa lektura rozrywkowa o jej wartości rozstrzyga barwnie i rzetelnie narysowane tło społeczno-obyczajowe pierwszych powojennych miesięcy w Polsce.

Józef Hen: „Twarz pokerzysty", Czytelnik 1972, str. 221, wydanie II, cena zł 13.—

PRZESŁANIE Z AMERYKI

Z nazwiskiem Tadeusza Chabrowskiego styka się czytelnik prasy literackiej od r. 1960, kiedy to krakowski „Tygodnik Powszechny" opublikował jego poetycki debiut. Autor tamtych wierszy, mnich zakonu oo. Paulinów opuścił wówczas kraj wyjeżdżając do USA. W r. 1964 i 1966, nie zrywając związków z Polską ogłosił w Londynie dwa zbiory wierszy. W r. 1967 wystąpił z zakonu podejmując studia doktoranckie na uniwersytecie w Filadelfii.

Po raz pierwszy mamy okazję zetknąć się w kraju z reprezentatywną próbką poezji Chabrowskiego, bo z tomem wierszy, który ukazał się nakładem LSW. Pobyt na obczyźnie nie odcisnął na nich jakiegoś wyraźnego piętna, są to wiersze osadzone w tradycji kultury polskiej. Także Bóg z tych wierszy nie ma cech doktrynerskich, teologicznych, jest to raczej ideał boski św. Franciszka z Assyżu. „Jestem trybularzem dobroci", stwierdza poeta w wierszu, od którego wziął tytuł cały tomik.

Tadeusz Chabrowski: „Drzewo mnie obeszło". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1973, str. 62, cena zł 10.—

JOANNA GRUDZIŃSKA

Nakładem łódzkiej oficyny wydawniczej ukazała się książka uroczych szkiców historycznych poświęconych kolejnym właścicielom pałacu prymasowskiego w Skierniewicach, w którym dziś mieści się instytut rolniczy. Autorka, Hanna Muszyńska-Hoffmanowa zawarła w swej pracy cenny i prawie nieznany materiał źródłowy związany z działalnością Ignacego Krasickiego i Franciszka Ksawerego Dmochowskiego, napoleońskiego marszałka Davouta, Wielkiego Księcia Konstantego, cara Aleksandra II oraz Konstancji Grabowskiej z domu Gładkowskiej, pierwszej miłości Chopina. Ale w tej barwnej galerii postaci, które przewinęły się przez skierniewicki pałac, pierwsze miejsce przypadło Joannie Grudzińskiej, późniejszej Księżnie Łowickiej, żonie Konstantego. Dziejom jej niezwykłego małżeństwa poświęciła Muszyńska-Hoffmanowa najwięcej uwagi kreśląc jednocześnie frapujący rysunek obyczajowy epoki. Te pracowicie zestawione drobiazgi złożyły się na cenną książkę szkiców z pogranicza historii obyczajów i kultury, po które chętnie sięgnie dosłownie każdy.

K. F.

Hanna Muszyńska-Hoffmanowa: „Joanna, moja światłość", Wydawnictwo Łódzkie, str. 274, cena zł 40.—

WARTO PRZECZYTAĆ

E. Balcerzak — „Stanisław Lem", PIW, cena 20 zł.
J. Bronisławski — „Zanim przyjdą o świcie", Iskry, cena 9 zł.
M. Allingham — „Jak najwięcej grobów", Iskry, cena 24 zł.
M. Choromański — „W rzecz wstąpić", Wyd. Poznańskie, cena 33 zł.
L. Pijanowski — „Przewodnik gier", Iskry, cena 40 zł.
H. Filipkowska — „Wśród bogów i bohaterów", PIW, cena 20 zł.

FILM

KRYMINAŁY

Filmy te reklamuje się jako dramaty kryminalne. Jak określenie to nic nie znaczy przekonać się można, oglądając „ŁOBUZA" w reżyserii **Claude Leloucha** i „FRANCUSKIEGO ŁĄCZNIKA" **Williama Friedkina.** Oba filmy wprowadzają w świat policjantów i gangsterów, lecz spojrzenie nań jest diametralnie różne. Oba filmy znamionuje i łączy iście demoniczna zręczność realizacji, fascynująca robota filmowa. I na tym podobieństwa w zasadzie się kończą, jako że używając słów samego reżysera, Lelouch „rzeczywistość charakteryzuje", Friedkin natomiast ją penetruje, odkrywając rejony rzadko przez film ujawniane.

Ciekawa jest, jeśli Claude Lelouchowi wierzyć, geneza jego filmu. Bohater filmu „**Łobuz**" ma swój autentyczny pierwowzór. Pan ów, po odsiedzeniu wyroku za napad z bronią w ręku, przygotowywał swój nowy „skok". Lelouch podobno odwiódł go od tego zamiaru, kupując odeń pomysł. Tak powstał film „**Łobuz**" wzorowany na życiu samym, co zgodnie z cytowaną wyżej dewizą Leloucha wcale nie musi znaczyć, iż życie owo znalazło w filmie swój realistyczny wizerunek, Rozterka, w jaką wprawił Lelouch naszych dystrybutorów reklamujących „**Łobuza**" jako dramat kryminalny, tkwi w przyjętej przez reżysera metodzie. Zrobił swój film pół żartem pół serio. Temat potraktował wedle cyniczno-ironicznej konwencji, mieszając elementy faktycznego komizmu z iście dramatycznymi zdarzeniami i demaskatorskimi wobec pewnej społecznej rzeczywistości akcentami.

Szaleńcza przygoda i sensacja ze znakomicie budowanym napięciem, jest nosicielem wcale drapieżnych sondaży kulturowych, obyczajowych, moralnych wreszcie, jeśli zważyć układ „pieniądz — ludzie", dominujący w tym filmie. Cynik i ironista Lelouch tak prowadzi, przy wydatnej pomocy **Jean Louis Trintignanta,** swego bohatera, by w powszechnej pogoni za pieniądzem zawodowy „łobuz" okazał się postacią najsympatyczniejszą, wykorzystującą swój fach nie tyle dla idei pieniądza, co dla przygody samej, możności sprawdzenia siebie w działaniu i inteligencji. Amoralność świata jest tematem tego filmu lecz jej obraz nie posiada w sobie nuty tragicznej, ujawnia się w komedii, czy nawet, po prostu, w satyrze. Satyrze tej nadał Lelouch dynamizm szaleńczy, zrytmizowany gagami rodem z komedii, ale i z czystej sensacji, gdyż z niej wypreparował wszystkie co celniejsze chwyty wedle zasady — nie ma rzeczy niemożliwych. Bo też, co tu dużo mówić — w rękach Claude Leloucha możliwe jest wszystko. Imponuje nie tylko znajomością gustów widzów swych filmów, posiadł sztukę filmowego opowiadania jak mało kto i imponuje swym niezaprzeczalnym talentem, choć byśmy go koniecznie chcieli obdarowywać etykietą najbardziej komercjalnego reżysera naszych czasów.

Na tle „Łobuza" zupełnie inaczej rysują się intencje Williama Friedkina, jego „**Francuski łącznik**" zrealizowany z wirtuozerią filmowego rzemiosła jest w istocie obdarowany większym aniżeli tamten film, posłannictwem społecznym. W „Łobuzie" ważna jest przede wszystkim mistrzowska zabawa reżysera w kino, zaproponowana przez niego również widzom. Friedkin robiąc popisowe kino, za co film jego zebrał zresztą aż pięć Oscarów (za najlepszy film roku, reżyserię, scenariusz, montaż i główną rolę **Gene Hackmana),** jednocześnie podejmuje problemy, które w świecie zachodnim nie są marginesem życia społecznego.

Film oparty jest na książce — reportażu **Robina Moore'a,** dotyczącej głośnej afery przemytu narkotyków z Marsylii do Nowego Jorku. Zamieszany w nią prezenter telewizji francuskiej spędził cztery lata w więzieniu, natomiast główny, nierozpoznany organizator przemytu, zdołał zbiec i dotąd nie został ujawniony. Sprawą w zdarzeniach tych jednak najciekawszą są dalsze losy dwóch policjantów ścigających przestępców. Zostali oni skierowani „do innych zadań", co znaczyć by mogło, iż świat gangsterskich bossów narkotycznego rynku ma swe niemałe wpływy w amerykańskiej policji. Friedkin bezkompromisowo odsłania tajniki machiny nowojorskiej policji również poprzez półdokumentalny obraz życia, pracy i moralności tego środowiska. Tropiący gangsterów główny bohater tego filmu to nie detektyw z dawnych powieści i filmów kryminalnych, to po prostu policjant wykonujący swój zawód z pasją, której nie nagradza ani pozycja społeczna, ani warunki materialne. Ukazane w filmie cienie zawodu policjanta nie dotyczą jednak wyłącznie spraw prestiżowych czy bytowych. To, co w filmie najbardziej pasjonujące i przerażające, to obraz swoistej degrengolady moralnej bohatera, mającej swe źródła w zawodzie, który wykonuje.

Zdumiewał nas niedawno bohater „Bullitta", policjant we „**Francuskim łączniku**" nie ma już jednak żadnych rozterek moralnych, a metody gangsterskie są po obu stronach barykady stosowane. „Bullitt" kojarzyć się z „**Francuskim łącznikiem**" może nie tylko poprzez pewne podobieństwa bohaterów — oba te filmy siedzą w jakimś nowym nurcie filmu kryminalnego, charakterystycznego tak widzeniem tematów, konstrukcją bohaterów, jak i sposobem realizacji. Nerwowy, półdokumentalny styl, autentyzm filmowanych miejsc, typ gry aktorskiej i zdumiewający dynamizm opowiadania uzyskany montażową perfekcją — to wspólne cechy tych filmów. Szok, jaki wywoływała słynna w „Bullicie" sekwencja pościgu, uodpornił może tych, którzy podobną sekwencję obejrzą we „**Francuskim łączniku**". Ci, którzy „Bullitta" nie widzieli, muszą przed obejrzeniem filmu Friedkina zażyć uspokajającą dawkę medykamentów — tego w kinie bowiem jeszcze nie było.

EWA NURCZYŃSKA

PLASTYKA

„WPROST" - PRZED SIEBIE

Oglądając wystawę grupy „**WPROST**" odniosłem wrażenie, że w Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi rozpięto ogromną gazetę, rodzaj tygodnika społeczno-kulturalnego z artykułem wstępnym, reportażem, felietonami, działem listów i polemik, z kolumną sportową oraz z „Kącikiem humoru i satyry".

„Artykuły plastyczne" Zbyluta Grzywacza i Leszka Sobockiego miałem okazję przed dwoma bodajże laty „czytać" na wystawach indywidualnych w krakowskiej Galerii „Arkady". Pozostałych dwóch panów z grupy „Wprost" nie znałem, ale już wówczas wieść szeroko niosła o kwartecie „Wprost" i wtajemniczeni mówili mi, że lepiej ich oglądać razem a nie osobno. Obejrzałem całą czwórkę dopiero w Łodzi w jedenastym numerze periodyku plastycznego i uważam, że lepiej ich oglądać osobno.

Co do jednoczesnego słuchania czterech solistów wykonujących rożne utwory w tym samym czasie, zawsze miałem opory i niewiele pomogła mi pani **Zofia Gołubiewowa** twierdząc że... Gdy widzimy różnice i podobieństwa, czujemy że całość stanowi siłę. Ale poprzez swą różnorodność". Nie upierałbym się przy „całości", ale gotów jestem zgodzić się na siłę. Siły indywidualne można dodawać, ale suma nie zawsze daje pełne wyobrażenie o całości. Całość różnorodna jest zjawiskiem dosyć powszechnym i bez trudu można tym samym terminem opatrzyć większość wystaw zespołowych.

Komentarz do wystawy grupy „Wprost" pani Zofii Gołubiewowej jest zjawiskiem wyjątkowym. Przede wszystkim dlatego, że autorka wbrew przyjętym zwyczajom nie pisze laurek, ale dzieli się z czytelnikami własnymi, często krytycznymi refleksjami na temat eksponowanych prac.

Poszczególne kolumny pisma grupy „Wprost" stanowią odrębne całości, zgodnie z zasadą — „dla każdego coś ciekawego". „Wstępniaki" są dziełem **Macieja Bieniasza,** myślę o rysunkach zatytułowanych: „Kamienie" i „Maraton" a także o obrazie olejnym „Rekolekcje Bulata Okudżawy". Wstępniaki Bieniasza mają charakter metaforyczno-filozoficzny albo na odwrót, co niczego nie zmienia, bowiem truizmy na ogół obywają się bez metafor. Z Maciejem Bieniaszem w zakresie wstępniaków współpracuje **Zbylut Grzywacz.** To czego nie śmiał, czy też nie mógł powiedzieć Bieniasz mówi Grzywacz — tylko mocniej, agresywniej.

Prace Zbyluta Grzywacza: „Bez kręgosłupa", „Na rogu", „Rozpięty" — płótna olejne i montaż „Wstąpienie" operują plakatową metaforyką, są krzykliwe, jednoznaczne i „mocno zbuntowane". Grzywacz stara się skompromitować stare szkoły malowania. — i w moim mniemaniu robi to dobrze, przekonywająco. Grzywacz stara się „załatwić" określone sprawy, tematy o charakterze estetyczno-społecznym, środki, którymi się posługuje choć mocno zwietrzałe, ale użyte z pasją, z wiarą w skuteczność ich działania robią wrażenie.

Dział felietonu oraz „kącik humoru i satyry" na wystawie grupy „Wprost" redaguje **Leszek Sobocki.** Jego felietony zatytułowane: „Wychodźca" i „Jeden dzień w życiu artysty (niepracującego)" podobały mi się szczególnie. Sobocki ma rzadki dar opowiadania dowcipów — ale sam się z nich nie śmieje. Chłodno, z pozorną powagą, jak przystało na rasowego felietonistę, napuszcza czytelnika — widza na tematy banalne, „z życia wyjęte", ukazując jednocześnie udział tzw. odbiorcy sztuki w narodzinach owych banałów.

Reportaż typu niemalże dokumentalnego w artystycznej wizji uprawia **Jacek Waltoś.** Przykład: cykl „Poszukiwanie grobu". Waltoś szczególnie w rzeźbie intryguje niepewnością — czy to co nam artysta pokazuje jest rzeczywiście skończone, gotowe na sprzedaż? Patrząc na jego „figurę podwójną" odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z propozycją, studium, które za chwilę ulegnie dopełnieniu, a może tylko poprawkom? Czy prace Jacka Waltosia pasują do tygodnika społeczno-kulturalnego grupy „Wprost"? Czy „przystają" do koncepcji pisma? Najpierw należałoby spytać, czy grupa „Wprost" ma w ogóle jakąś koncepcję?

Maciej Bieniasz, Zbylut Grzywacz, Leszek Sobocki i Jacek Waltoś nie uprawiają żadnej „szkoły", nie są też wyznawcami żadnej mody ani kierunku. Może fakt ukończenia Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie przez cały zespół redakcyjny był tym czynnikiem łączącym, punktem startu od którego wyszli? Być może... Istotnym wydaje mi się fakt, że czterej panowie, każdy na swój sposób, podjęli trud rozmowy, trud nawiązania dialogu z „czytelnikiem — widzem". W takim przypadku rozmaitość treści i formy ułatwia kontakt twórcy z odbiorcą.

Pomysł wydawania gazety plastycznej w formie ekspozycji dzieł, choć nienowy, zawsze znajdzie zwolenników. Szkoda tylko, że redaktorzy nie potrafią dogadać się ze sobą. Działania osobne w ramach jednego zespołu muszą być przypadkowe i taki właśnie „przypadkowy" jedenasty numer periodyku plastycznego „Wprost" otrzymaliśmy w Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi.

„**Jeśli kiedyś pisano, że „Wprost" podnosi bunt przeciw „formie"** — cytuję fragment z komentarza Zofii Gołubiewowej do katalogu wystawy — **to dziś można by powiedzieć, że ich twórczość jest właśnie owej formy poszukiwaniem. Tyle, że nie dla niej samej, lecz nadal dla konkretnych celów użyteczności społecznej...**"

Otóż tych „konkretnych celów" w działalności społecznej redaktorów grupy „Wprost" dopatrzyć się nie mogę. Zbyt wiele jest w ich „gazecie" mało znaczących i banalnych impresji snutych wokół tematu „życie na co dzień". Mówienie o wszystkim ogranicza pole widzenia i wprowadza zbyt wiele — moim zdaniem — elementów przypadkowości. Mówienie wprost bywa zaletą z jednym jednakże warunkiem, że to co się mówi jest tak ważne, że przemilczeć tego nie można.

STEFAN KUBICKI

PLASTYKA - TEATR

Granie na bączku...

1.

Ogląda się u nas sztukę na „wdechu", albo na „wydechu" — zależy z czym mamy do czynienia, skąd to coś, co oglądamy — przyszło i co o tym czymś wiemy. Fredrę oglądamy na wydechu i Matejkę oglądamy na wydechu. Na wydechu oglądamy Wróblewskiego, Norwida i Gaja. „Dziady" i „Antygonę" też oglądamy na wydechu. Teatr Szajny oglądamy natomiast na wdechu. Jest to ten sam wdech, który towarzyszy czynności zdejmowania majtek przez striptiserkę w nocnej knajpie — wdech wyrażający prasłowiańskie niedowierzanie, że gołą panienkę można zobaczyć publicznie, że coś takiego się dzieje, że na coś takiego już u nas pozwalają. I Szajna i striptis uosabiają bowiem Europę, ba, może nawet kawałek Ameryki.

Kiedy Szajna rozsypuje na podłogę ziemię (bardzo ładna w kolorze) i kiedy panienka zdejmuje z siebie wszystko w nocnej knajpie — czujemy powiew awangardy i czujemy powiew wielkiego świata. Czujemy się także wolni i bardzo nowocześni.

Panienki gołe biegały między biesiadnikami już za czasów Aleksandra Macedońskiego, a i chyba jeszcze wcześniej.

To, co Szajna robi w swojej „Replice", robiono na Broadwayu w początkach lat 20-tych („stracone pokolenie" etc.).

Polacy nigdy nie bardzo wiedzieli, jak się zachować wobec golizny publicznie golej. Dla awangardy mieli zawsze nabożny szacunek, choć jej twórców nie hołubili nigdy nadmiernie (żadnych twórców nie hołubiliśmy na dobrą sprawę — no, chyba że pomarli sobie); pragnęliśmy być w Europie, a zapomnieliśmy, że najpierw trzeba być sobą u siebie. Stąd kompleksy i oglądanie i Szajny i striptisu na wdechu. W nabożnym zachwyceniu.

2.

Szajna zaczyna spektakl niegłośnym — puf! i estetycznym dymkiem, który układa się w jeszcze bardziej estetyczny grzybek a'la atom. Są różne wejścia. Entrée Szajny jest takie a nie inne. Jest od razu zaangażowane i to zaangażowane bez reszty. Już wiadomo, co Szajna chce nam przekazać i czego od nas oczekuje. Potem zaczyna się dramatyczny ruch w śmietniku, który symbolizować ma śmietnik totalny. Postacie jak z Bruegla.

Jedni odebrali to, jako coś po zagładzie, inni jako coś przeciwko zanieczyszczaniu środowiska. Sztuka nie musi być dosłowna. Jednoznaczna. I źle jest, jeśli taką jest.

3.

Dramaturgia łamie się, kiedy Szajna wprowadza w widowisko symbol żołnierza, który to symbol jest jednoznaczny; i łamie się zupełnie, kiedy Szajna komentuje tegoż żołnierza planszami a'la Oświęcim. Szajna przestaje przerzucać łopatą ziemię, na której się wszystko dzieje — zaczyna nam coś kłaść łopatą do głowy. Ale ponieważ to, co było w widowisku przed pojawieniem się żołnierza, i to co się dzieje po jego pojawieniu — to są rzeczy zupełnie sobie różne, należy zadać pytanie: co tu właściwie jest ważne i co jest krzykiem a co histerycznym piskiem?

W Oświęcimiu stałem osłupiały przed hałdami butów z dorosłych i z dzieci. Kilka par butów przybitych do deski u Szajny, spreparowanych artystycznie, spatynowanych jak filmowy rekwizyt, nie robi żadnego wrażenia. Raczej śmieszy i żenuje.

Sztuka współczesna dała nam przedmioty eleganckie, sterylne, wykonane na wysoki połysk, bezduszne w swojej doskonałości technicznej, bezosobowe, anonimowe. Galanteryjne. Na drugim biegunie znajdujemy dzieła sztuki z gatunku galanterii brudu, galanterii niechlujstwa, brutalności. Galanteria wysokiego połysku i galanteria ekspresyjnego niechlujstwa nie leżą od siebie zbyt daleko. Obie są sztuczne. Obie są jedynie chwytem.

Szajna zaczyna się babrać w ludzkich ekskrementach i nagle okazuje się, że bawi się w piaskownicy.

4.

U Szajny wszystko jest znakomicie spreparowane. Artystycznie spreparowane. Tak znakomicie i z takim smakiem, że patrzymy na to wszystko z przyjemnością. Nawet kadłuby ludzkie, manekiny zmaltretowane są estetycznie. I dlatego ten cały spektakl Szajny jest pozbawiony wyrazu i ciężaru. To, co pokazuje Szajna, jest zaledwie ładne.

„Replika" Szajny jest więc zabawą salonową, a nie oskarżeniem, nie buntem, nie krzykiem. Nie uratuje tu niczego bicie manekinów, ani sypanie sobie ziemi na głowę. Szajna rozpuścił się w estetyzacji jak rozpuszczają się w wodzie pastylki na niestrawność.

5.

Widowisko kończy się „grą na bączku". Bąk nakręcany, dziecinna zabawka puszczona na szybę oprawną w złotą ramę. Jedni odczytali to jako przestrogę, iż zabawa ludzi w unicestwianie ludzi i wszystkiego co ludzkie nie skończyła się jeszcze; inni zaś, jako ponure, groźne requiem. Dla mnie był to zwyczajny, estetyczny greps. Pomysł. Bo z pomysłów, z grepsów, z zagrań składa się widowisko Szajny. Każdy z tych pomysłów jest dobry, są pomysły znakomite, ale całość jest tylko graniem na bączku, dziecinnej zabawce. Do niczego nie zobowiązuje i niczego nie wyraża.

ANDRZEJ GRUN

MAGAZYNEK

IGOR ŚMIAŁOWSKI OPOWIADA...

Podczas „zimy stulecia" w teatrze „Syrena" palacz na prośbę aktorów, by palił intensywniej — jak to często bywa — przesadził. Upał w garderobie był nie do wytrzymania. Spytano więc palacza, co się dzieje? „Jak to, co" — odpowiada rumiany, uśmiechnięty, nieco zachrypnięty mężczyzna — „jedna szufla — jedna seta".

* * *

Andrzej Łapicki po powrocie do domu z kliniki, gdzie przed godziną żona urodziła dziecko, spytał gosposi, czy nie ma przypadkiem alkoholu. „W takiej sytuacji musi się znaleźć" — uśmiechnęła się zacna pani Marynia. Przy którymś kolejnym kieliszku rozrzewniony młody ojciec powiada: „Pani Marysiu, jak to jest w tym życiu? Urodzi się to takie maleństwo, córcia moja jedyna, a potem przyjdzie jakiś obcy człowiek i weźmie ją jak swoją". Gosposia współczująco: „A może pan nie doczeka?" — powiedziała.

* * *

W roku 1922 dyr. Szyfman wystawił w Teatrze Polskim w Warszawie „Hamleta", Broniszównie powierzył rolę Królowej. Na pewnym spektaklu, gdy na scenie „trup słał się gęsto", Broniszówna, otruta Królowa, upadła tak, że aktorzy niosący ciało Hamleta (grał go W. Brydziński) musieli niemal przechodzić po niej. Ich długie szaty wzbijały tumany kurzu. Pani Seweryna zaczęła kichać.

Widownia miała nie lada uciechę. „Trupy" trzęsły się ze śmiechu.

* * *

Kiedy Adam Hanuszkiewicz reżyserował w warszawskiej TV „Niemców", w przerwie podeszła do niego młoda aktorka. — Chcę być reżyserem — oświadczyła — niech mi pan poradzi, co mam robić. Hanuszkiewicz wyjaśnił, że kobieta, według niego, nie powinna zajmować się tym zawodem. Jednym z argumentów jaki przytoczył było to, że kobieta w jego pojęciu nie ma zmysłu przestrzennego.

Rozmowa odbywała się w reżyserce starego studia, gdzie ciasnota i niskość sufitu były powszechnie znane. Kiedy Hanuszkiewicz wstał, jego wzrost okazał się fatalny. Rąbnął bowiem głową w ten niski sufit. Skrzywił się, potarł dłonią czoło i uśmiechając się, powiedział. — Jednak niech pani idzie na tę reżyserię...

* * *

Grabowski, bardzo młody podówczas, powiedział do kolegów, ujrzawszy na ulicy fascynującą kobietę: — Umrę, a zdobędę ją! Po latach, już jako znany aktor, będąc w gronie tych samych kolegów, przypomniał ową damę i uśmiechnąwszy się zakomunikował: — Moje młodzieńcze marzenia się spełniły.

— No i jednak żyjesz! — wykrzyknęli koledzy.

Grabowski mrugnął porozumiewawczo. — Tak — powiedział — ale długo się leczyłem.

* * *

Holoubek, jeżdżąc codziennie po przedstawieniu do Łodzi, gdzie kręcił film, zmęczony rannym wstawaniem, poprosił kiedyś, by następnego dnia obudzono go później, gdyż zdjęcia zaczyna o dziewiątej. Wczesnym świtem nad głową śpiącego aktora, ostro zadzwonił telefon. Łagodny głos Henia Szlacheta, kierownika zdjęć oznajmił:

— Panie Holoubek, jest szósta, ale dziś może pan spać do ósmej. Serdecznie dziękuję.

* * *

Tenże Henio Szlachet zadzwonił kiedyś do Holoubka z łódzkiej Wytwórni Filmowej i zapytał, czy może on (Holoubek) przyjechać na zdjęcia we wtorek. — Mówiłem panu, że we wtorek mam popołudniówkę w teatrze, mogę dopiero we czwartek. — Dobrze — odpowiedział Henio — pójdziemy na kompromis: przyjedź pan w środę, ale za to na pewno.

* * *

Aleksander Maliszewski w latach trzydziestych zaproponował Jaraczowi, by ten wystawił jego sztukę — o antywojennym charakterze — pt. „Antygona".

Cenzura jednak zabroniła Jaraczowi wprowadzenia utworu na scenę. Maliszewski w rozmowie z cenzorem proponował skreślenie pewnych ustępów sztuki. Cenzor stanowczo się sprzeciwił, twierdząc, że wówczas pozostałby tylko tytuł.

„Pół tytułu" — powiedział spokojnie autor — przecież z pewnością skreśliłby pan także (tu wymownie spojrzał na cenzora) „Anty".

Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

DYSKRECJA I ELEGANCJA

Nieoceniony red. **Jan Ciszewski** w sposób pełen elegancji relacjonował przebieg meczu hokejowego. Jan Ciszewski wołał: **„coś się dzieje... kije wzniesione wysoko opadają szybko w dół, nie zawsze na taflę lodowiska..."**

Oto przykład, jak kurtuazyjnie można opowiedzieć fakt, że ktoś komuś przyłożył kijem po grzbiecie.

DIETA-CUD

„Szpilki" propagują nową dietę-cud. Oto **obejmując partnera (partnerkę) tracimy 4 kalorie. Pocałunek pozbawia nas od 3 do 11 kalorii rozbieranie partnerki (partnera) — 15 kalorii (zimą — dodają „Szpilki").**

Jak widać rozbieranie Eskimoski (Eskimosa) jest najbardziej opłacalne w sensie utraty kalorii. Nie polecamy natomiast partnerów z Trzeciego Świata.

AMERYKA, AMERYKA!

„Express Ilustrowany" drukuje relację swego wysłannika z podróży po USA i Kanadzie. Z ciekawostek odnotujmy, że zespołowi „Estrady", któremu towarzyszył wysłannik, celnicy amerykańscy zarekwirowali kabanosy, wędzone szynki i suche kiełbasy. Wysłannik, który miał tylko 8 dolarów diety dziennie, chodził głodny spać. Pieczeń kosztuje bowiem 3 dolary, a piwo 75 centów...

A tak, swoją drogą, czy w reportażach z Ameryki zawsze będziemy czytać o nieszczęsnych kabanosach, Broadway'u „jarzącym się światłami tęczy", „ogniskach neonów" i wieżowcach na Manhattanie?

SIADAMY I ODPOCZYWAMY

Po długim biegu serce bije mocno i trzeba usiąść chwilę, odpocząć. Absolutnie tak samo jest w każdej twórczości, nawet filmowej. Wykona reżyser filmowy dzieło swoje, powiedzmy „Chłopów" według Reymonta, a potem przez chwilę godziwie odpoczywa, oddech uspokaja i siły zbiera do nowego filmu, powiedzmy według Orzeszkowej. Chodzi tylko o to, by wypoczynek nie trwał dłużej, niż praca nad dziełem. I my, jak Ludzie Filmu, odpocznijmy dzisiaj po rzetelnej pracy. Anegdot posłuchamy, żartów dla dorosłych, a potem zaśpiewamy pospołu. I jeszcze pokażemy światu, jak się pracuje!

ANEGDOTY

W czasie nakręcania zdjęć do filmu „W pustyni i w puszczy" ekipa przeżyła więcej przygód na pustyni niż w puszczy. W puszczy wszystko toczyło się spokojnie, jak to w puszczy. Na pustyni natomiast duża ilość piasku bardzo rozpraszała dzieci. Ale to jeszcze nic! W jednej ze scen wielbłąd miał powiedzieć kilka ciepłych słów pod adresem Nel. Okazało się, że ciemne i złośliwe zwierzę nie potrafi tego wykonać, chociaż czytano mu scenariusz. Mnóstwo pracy poszło na marne i w rezultacie ani jeden wielbłąd nie mówi w tym filmie. Za to jak ładnie rozmawiają ze sobą Staś i Nel.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina"

K.I.G.

W filmie „Hubal" jest wiele scen batalistycznych. Pech zdarzył, że w trakcie kręcenia jednej z takich scen, pewnemu aktorowi zacięła się szabla. Co robić? Niejeden z nas straciłby głowę. Ale dzielny aktor szarżował jednak dalej w tej niezręcznej sytuacji tak dzielnie, że nasi wygrali.

W czasie realizacji filmu „Chłopi" aktorzy bardzo zżyli się z miejscową ludnością. Film się jednak skończył i trzeba było wracać do miasta. By nie zrywać serdecznego kontaktu, każdy z aktorów zabrał ze sobą do domu jednego chłopa lub chłopkę. Gdy chłopi trochę tęsknią za rolą, aktorzy częstują ich chłodnikiem po wiejsku.

A gdy kręcono film „Ostatnie tango w Paryżu", to główna aktorka wstydziła się tak bardzo, że cała ekipa musiała zamknąć oczy. U nas zaś, gdy raz nakręcano komedię, to cała ekipa tak się śmiała, że aż się z tego śmiechu popłakała. To chyba jednak lepiej u nas.

POŚMIEJMY SIĘ I POŚWIŃTUSZMY

W łóżku leży sobie para. Widocznie nudno im, bo rozmawiają ze sobą o tym i owym. Ona: „Gdyby tak mój mąż tu wszedł, to by dopiero było kino..." On bez chwili namysłu odpowiada: „A gdyby moja żona tu przyszła, to by była telewizja..." Śmieją się przez chwilę radośnie w tym łóżku i już im się mniej nudzi. Nagle ona poważnieje i pyta: „Dlaczego telewizja???". „Bo moja żona pracuje w telewizji" — wyjaśnia on. Śmieją się, aż się łóżko trzęsie.

JESZCZE JEDEN DOWÓD

Jeden pan wziął ze sobą do kina telewizor, żonę i bułkę z szynką. Bułkę zjadł, żonę pogłaskał po głowie, a telewizor do niczego mu się nie przydał. A mówią, że telewizja zwycięży film!

KURS DLA SCENARZYSTÓW. ODCINEK V.

Dziś nie będzie żadnego wykładu. Posiedźmy sobie i pomarzmy. Oczywiście będą to twórcze marzenia. Powiedzmy, że napisaliśmy już scenariusz. Właśnie ostatnią kropkę stawiamy, a tu do drzwi ktoś dzwoni! Otwieramy, a to reżyser filmowy stoi, kłania się i o płód naszej wyobraźni błaga, nakręcać go szybko pragnie. Albo śmielej jeszcze. Nobel, ten cwaniak od dynamitu, po ulicy za nami biega i nagrodę chce nam wcisnąć do kieszeni. Jeszcze troszkę śmielej! Otwieramy wersalkę, a tu seks-gwiazda filmowa się wychyla i błaga, by scenę jej dopisać, a ona to na golasa za darmo zagra. Jeszcze śmielej! Stop. Wystarczy marzeń głośnych. Teraz pomarzymy sobie po cichu, indywidualnie. A za tydzień do rzetelnej roboty!

Wszystkim Kursantkom i Kursantom Szczęśliwego Nowego Roku życzy MAŁE KINO — synteza wszystkich sztuk!

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

JURIJ SZCZERBAK

TRANSPLANTACJA

Wala i Kostiuk stali obok siebie na środku pokoju, a wokół nich krążyło małe czerwone cudeńko. Nie zauważyli, jak zaczęli mówić szeptem. Samochodzik długo nie wyjeżdżał spod szafy i Wala uklękła, aby go stamtąd wydostać. Kostiuk patrzył na wygięcie jej ciała, na jej nogi. Potem nachylił się i powiedział tylko: „Proszę zostawić. On sam wyjedzie" — i dopomógł Wali podnieść się. Kiedy wstała, dostrzegł między jej brwiami znajomą zmarszczkę zakłopotania. Pozostał blisko niej, pocałował ją. Przeszył go ostry ból szczęścia. Zdawało mu się, że nigdy dotąd takiego szczęścia nie doznał jak gdyby jego życie przypominało do tej pory kartkę nie zapisanego papieru, chociaż było to oczywistą nieprawdą, bo kartka ta była już zapisana przez różnych ludzi, pomięta i postrzępiona. Zapomniał w tej chwili jak było w 1938 roku, w 1941 roku w medycznym batalionie sanitarnym w 1944 roku, w 1947 roku, jak było jeszcze w 1959 roku czy później — za każdym razem, kiedy obejmował inną kobietę; ale o tym się zapomina i zawsze wydaje się, że wszystko zaczyna się od nowa.

Poczuł przypływ czułości dla tej kobiety, dla jej upartej twarzy, jej ciała, jej włosów, dla tego wszystkiego, czego był pozbawiony, odkąd utracił żonę. I tą właśnie delikatnością wzruszył Walentynę, kiedy ją obejmował — wielki, dobry i po dziecinnemu bezradny; coś macierzyńskiego drgnęło w jej sercu.

Mój Boże, wszystko było na odwrót: nie brutalność, jakiej się spodziewała, lecz ręce pełne ostrożnej delikatności i pieszczoty. Pocałowała jego rękę, bo skończyła się jej samotność, jej pewność siebie, jej siła i stanowczość; oddawała mu wszystko, niepotrzebna była jej siła, zmęczył ją już ciężar własnej siły i samotności. Jak to dobrze, że pocałował ją właśnie teraz, a nie wtedy, w ich pierwszy dzień, nie w cerkwi i nie tam, nad Dnieprem. Jak to dobrze, że wstrzymał się wtedy i jak dobrze, że ją pocałował teraz i że nie rozpoczęli tej pseudointelektualnej gadaniny, z której trudno się potem wyplątać. Wszystko zależy od początku, dobrze więc, że mu pokazała tego cybernetycznego pelzaka; a czyż to nie ona sama pełzała dotąd przez życie jak ten czerwony samochodzik — bezsensownie, ale uparcie?

Były cienie i mrok, nareszcie były te cienie i ten mrok, który ich nie dzielił. Kostiuka ogarnęło nagle poczucie, że osiągnął szczyt swego życia. Dotąd odczuwał swe życie jako nieustanne pięcie się pod górę, ciągle pod górę; teraz pojął, że to najpiękniejsze ze wszystkiego, co dotąd było, jest i będzie w jego życiu. Pomyślał, że ostatnia miłość zwykle przynosi z sobą ból; ale bólu nie było — przeciwnie, było uczucie pełnego i ostatecznego szczęścia. Uczucie to napełniło jego płuca jak zapach sosnowego lasu, jak zapach deszczu, kiedy błąkasz się samotnie po dnieprowych brzegach. Koło, do którego wstąpił, spotkawszy przypadkowo tę młodą kobietę, uszczelniło się, magnetyczne pole materializowało się; kończyła się przypadkowość, bo oto trzymał w ramionach tę kobietę, jeszcze kilka dni temu taką nieosiągalną.

— Maleństwo — powiedział. — Moje ty maleństwo. Tak mi dobrze z tobą.

— Mnie też — wyszeptała.

I wówczas całą układność i powściągliwość, i nieosiągalność i obcość — wszystko, wszystko — zerwano, zmięto i odrzucono. Biły w nim i w niej potężne źródła zbliżenia mężczyzny i kobiety, wzrosło napięcie, oczekiwanie ciał, nie było już innego wyjścia z tego kręgu szczęścia.

— Zaczekaj — powiedziała.

Przekręciła w drzwiach klucz, potem zrzuciła z siebie sweter — ciepło błysnęło w półmroku jej smagłe ciało — i zaczęła rozsuwać nerwowo ekler spódnicy.

Podszedł do okna i przytulił twarz do zimnej szyby. Na dworze ślizgały się dzieci, krążąc w czystym zimowym zmierzchu.

— Chodź — wyszeptała.

Podszedł i położył się obok niej. Kiedy się kładł, zaczepił przypadkowo łokciem o maskę Peruna; zadźwięczał potrącony dzwon, jakby uderzył stary zegar — i była to jeszcze jedna tajemnica tego wieczoru. Ten dzwon jak gdyby obwieścił początek ich wspólnego istnienia. Ale miał zbyt mało czasu, by powiedzieć jej coś niesłychanie ważnego, o wiele za mało, nie zdążyłby już wymówić nawet pół słowa; zobaczył jakiś smutek na jej twarzy, jakby się modliła... i dopiero później odczuli swą nieśmiertelność.

Całkiem się ściemniło. Kostiuk usiadł i spojrzał na milczącą Walentynę. Na jej ciele ledwo odgadywało się dwie białe smugi nie opalonego ciała, nie można było już dostrzec wyrazu jej twarzy. Nachylił się i pocałował ją.

— Maleństwo — powiedział. — Jakaś ty piękna.

Coś poruszyło się przy jego nodze tak nieoczekiwanie, że aż drgnął. Był to mały, czarny już teraz samochodzik, który kontynuował swój braunowski rajd po pokoju. Z korytarza doleciały jakieś głosy. Zapalono światło, pod drzwiami zjawiła się blada smuga. Kostiuk znowu położył się obok Wali.

— Czuć cię jodem — powiedziała.

— Nie — zaprzeczył. — Nie używamy jodu do rąk. A kiedy idziemy do operacyjnej, gruntownie się przebieramy.

— Wszystko jedno, i tak pachniesz jodem — powtórzyła z uporem. — Lubię woń jodu.

— Można zapalić światło? — spytał. — Chcę popatrzeć na ciebie. Zapomniałem, jak wygląda twoja twarz.

Wyciągnął rękę do stołu i zapalił stojącą lampę.

— To zbrodnia leżeć obok i nie widzieć ciebie. Jakaś ty piękna.

Pocałował ją w ramię.

Potem odchylił maskę Peruna. Ujrzał wewnątrz wahadło, które uderzało o struny zawsze, kiedy ktoś dotknął maski. Perun zabrzęczał kilka razy i umilkł.

— Zjesz coś — spytała.

— Zjem.

— Zaraz cię nakarmię — ucieszyła się. — Będziesz jadł szynkę?

— Tak.

— A sardynki?

— Tak.

— A ogórki marynowane?

— Tak.

— A paprykę bułgarską?

— Tak.

— A pieczeń? Smaczna, jeszcze ciepła.

— Tak.

— A kawy się napijesz?

— Tak, maleństwo.

Wstała, ale teraz już się go nie wstydziła, bo się kochali i wszystko inne nie miało żadnego znaczenia. Kostiuk rozkoszował się jej widokiem: niewielkiego wzrostu, harmonijnie i mocno zbudowana, tak jak te współczesne dziewczęta, które uprawiają gimnastykę artystyczną. Była jeszcze w tym szczęśliwym okresie, który lekarze nazywali „kwitnieniem ciała". Przestąpiła przez Kostiuka, zeskoczyła lekko z kanapy i narzuciła na siebie szlafroczek. Potem zasłała stół czystym obrusem i wyszła do kuchni.

Kostiuk podniósł się i spojrzał w okno. Trudno było coś rozpoznać, wszystko utonęło w atramentowym mroku.

(Fragment. Przełożył: STANISŁAW EDWARD BURY)

Jurij Szczerbak, młody kijowski naukowiec pracujący w Instytucie Mikrobiologii, jest poetą, nowelistą, powieściopisarzem, rysownikiem i filmowcem. Czytelnicy polscy znają go z powieści „Kwarantanna". Powieść „Transplantacja" powstała w oparciu o scenariusz Szczerbaka, według którego nakręcono w Kijowie film „Droga do serca".

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź ul. A. Czerwonej 28
Zam. 2847, C-4, Nr indeksu 37006